



Stanisław Barańczak
(1946-2014)

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XIX Nr 1(221) Żelów, styczeń 2015

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Zwyczajnie chodzę do lasu na śmieci –
z **Wiktorem Zborowskim** rozmawia

Mirosław Majewski

Wiersze: Sylwii Gibaszek, Stanisława
Nyczaja, Elizy Segiet, Jerzego B. Sprawki,
Moniki Sznacner-Telki, Jarosława
Zielińskiego, Agnieszki Żądło

Andrzej Dębkowski – *Tragedia Europy?*

Leszek Żuliński – *Fatum czy
normalność?*

Józef Baran – *Przystanek marzenie*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia
codziennosci*

prof. Ignacy S. Fiut – *Poezja w rytm fado*

Kazimierz Ivosse – *Portret znajomej
dziewczyny jako tekst – kolaż w szarym
kolorze (1)*

Stefan Jurkowski – *Jeszcze żyjemy*

Andrzej Bartyński – *Żeby żyć*

Krystyna Cel – *Świat poetycki Andrzeja
Bartyńskiego*

Wanda Nowik-Pala – *Poszukując
Hippokrene*

Stanisław Nyczaj – *Z fascynujących
spotkań młodzińskich*

Janusz Orlikowski – *Mrówczy trud
Zawadowskiego*

Danuta Gil-Łowkis – *Stefan (1)*

Jędrzej Konieczka – *W dobrym
towarzystwie*

Wydarzenia

Informacje

Imprezy

Kronika

Zapowiedzi

Opinie, Noty, Poglądy

Konkursy, Witryna



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębkowski

Konkursy

XI Ogólnopolski Konkurs Literacki „Złoty Środek Poezji” Kutno 2015

1. Organizatorem konkursu jest Kutnowski Dom Kultury.
2. Konkurs obejmuje wszystkie debiutanckie autorskie książki poetyckie poetów piszących w języku polskim wydane w roku 2014, które autor bądź wydawca nadesłali na adres organizatora konkursu w minimum 5 egzemplarzach do 31 marca 2015 roku (decyduje data stempla pocztowego).
3. Jako książkę debiutancką rozumie się pierwszy zwarty druk poety opatrzony stopką wydawniczą i numerem ISBN bez względu na jego objętość. Jest więc nią również tzw. arkusz poetycki, jeśli posiada cechy wymienione w punktach 3 i 4 regulaminu.
4. Książka debiutancka może być wydana w Polsce lub poza jej granicami.
5. Autorzy bądź wydawnictwa powinni dołączyć do książek kartę zgłoszeniową – załącznik do regulaminu.
6. Jury Konkursu w składzie – Karol Maliszewski – przewodniczący, Krzysztof Kuczkowski, Wojciech Kudyba – przyzna nagrody o łącznej wartości 15.000 złotych. Zakładany podział nagród określa się w sposób następujący: I nagroda – 7000 zł, II nagroda – 4000 zł, III nagroda – 2000 zł. Wyróżnienia: suma łączna – 2000 zł. Jury ma prawo do innego podziału nagród.
7. Oficjalne ogłoszenie wyników konkursu nastąpi 14 czerwca 2015 roku o godzinie 15.00 w Kutnowskim Domu Kultury, ul. Żółkiewskiego 4.
8. Nagrodzeni i wyróżnieni autorzy zostaną o tym poinformowani do dnia 5 czerwca 2015 r.
9. W ramach Festiwalu organizowane będą spotkania laureatów XI OKL z młodzieżą w dn. 12 czerwca. Uczestnicy wypełniając kartę zgłoszeniową deklarują dostępność na spotkaniu.
10. Warunkiem otrzymania nagród finansowych jest osobiste stawiennictwo nagrodzonych i wyróżnionych autorów (lub w szczególnych przypadkach – pisemnie przez nich upoważnionych – przedstawicieli) na uroczystości oficjalnego ogłoszenia werdyktu i wręczenia nagród przez organizatora.
11. W przypadku nie spełnienia przez autora wymagania punktu 10 regulaminu kwota jego nagrody finansowej zostanie wykorzystana przez organizatora na inne cele związane z misją upowszechniania kultury.
12. Nadesłanie książek debiutanckich na adres organizatora we wskazanym terminie oznacza akceptację regulaminu i deklarację, że autor nigdy wcześniej nie wydał żadnej książki noszącej cechy poetyckiego debiutu książkowego w rozumieniu niniejszego regulaminu.
13. W przypadku, gdyby okazało się – po rozstrzygnięciu konkursu – iż książka nagrodzona lub wyróżniona nie jest poetyckim debiutem książkowym w rozumieniu regulaminu – nagrodzony lub wyróżniony autor zobowiązany jest do zwrotu otrzymanej nagrody finansowej a werdykt jury ulega odpowiedniej korekcie.
14. Wszelkie pytania prosimy kierować na adres mailowy – zlotysrodek@kdk.net.pl lub do koordynatora konkursu Teresy Mosingiewicz.
15. Adres, na który należy wysłać książki: Kut-

nowski Dom Kultury, ul. Żółkiewskiego 4, 99-302 Kutno, z dopiskiem 11. OKL „Złoty Środek Poezji”.

XI Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O Wawrzyn Sądecki”

1. Konkurs ma charakter otwarty, mogą w nim wziąć udział wszyscy piszący po polsku autorzy.
2. Na konkurs należy nadesłać nawiązujące do hasła (*Człowiek i żywoły*) wiersze, w ilości od jednego do dwóch w czterech egzemplarzach. Powinny to być teksty nigdzie niepublikowane, nienagradzane i niewysyłane na inne konkursy.
3. Utwory prosimy opatrzyć godłem słownym. Winno być ono powtórzone na zaklejonej kopercie zawierającej imię, nazwisko, adres, numer telefonu, e-mail autora i krótką informację o nim.
4. Autorów, którzy nie ukończyli 20 lat, prosimy o podanie obok tych danych, również daty urodzenia, nazwy szkoły, uczelni, lub zakładu pracy oraz oznaczenie swoich wierszy literą „M” (pod godłem).
5. Autorów mieszkających na Ziemi Sądeckiej prosimy o napisanie na pracach konkursowych litery „S” (pod godłem).
6. Wszyscy uczestnicy konkursu rywalizują o nagrody pieniężne i wyróżnienia drukiem.
7. Prace konkursowe należy nadsyłać do **20 maja 2015** roku na adres: **Sądecka Biblioteka Publiczna, 33-300 Nowy Sącz, ul. Franciszkańska 11** – z dopiskiem na kopercie: **Konkurs Poetycki**.
8. Pokłosie konkursu znajdzie się w almanachu pokonkursowym. Oprócz utworów nagrodzonych autorów, opublikowanych w nim zostanie kilkadziesiąt innych wartościowych wierszy nadesłanych na konkurs. Ich autorzy nie otrzymują honorarium.
9. Ogłoszenie wyników konkursu i wręczenie nagród odbędzie się **26 września 2015** roku w Nowym Sączu. Nagrody należy odebrać osobiście w dniu finału. Nieobecność na tej uroczystości sprawia, iż nagroda staje się wyróżnieniem honorowym, a gratyfikacja pieniężna zostanie przeznaczona na wspieranie twórczości literackiej w regionie.
10. Udział w konkursie jest równoznaczny z akceptacją jego regulaminu. Interpretacja niniejszego regulaminu należy do organizatorów.
11. Jury przyzna następujące nagrody i wyróżnienia: I nagroda – 700 zł; II nagroda – 500 zł; III nagroda – 400 zł. Nagroda specjalna za najbardziej oryginalną interpretację hasła konkursowego – 500 zł, a także 2 statuetki Starosty Nowosądeckiego „Srebrne Pióro Sądeckie” dla: – najlepszego w tej edycji konkursu autora mieszkającego na Ziemi Sądeckiej oraz najlepszego autora w grupie młodzieży do lat 20. Wyróżnienia drukiem w almanachu pokonkursowym
12. Jury zastrzeżę sobie prawo innego podziału kwoty przeznaczonej na nagrody.
13. Dodatkowych informacji udziela sekretarz jury (Grupa Literacka „Sądecka”) - tel. 606 957 138, e-mail: oksymoron2@gmail.com
14. Organizatorzy konkursu: Grupa Literacka „Sądecka”, Starostwo Powiatowe w Nowym Sączu, Sądecka Biblioteka Publiczna im. J. Szujskiego w Nowym Sączu.

Sukces Agnieszki Żądło

Poetka **Agnieszka Żądło** zajęła III miejsce w XI edycji Międzynarodowego Konkursu Poetyckiego Castello di Duino. Laureatka jest dziennikarką „Dobrego Znaku” i „Kuriera Warszawskiego”, właścicielką Wydawnictwa Kaligrafia zajmującego się wspomnieniami, a także przewodniczącą Klubu Literackiego „Pegaz” im. Władysława Sebyły przy Towarzystwie Historycznym im. Szembeków w Warszawie. Mieszka pod Warszawą, ma 28 lat.

Wcześniej zdobywała nagrody i wyróżnienia w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Jakuba Wujka, Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim „Piórem malowane”, Światowym Dniu Poezji w Łomiankach oraz Turnieju Jednego Wiersza „O złote pióro konfratrów”. W 2009 roku ukazał się jej debiutancki tomik pt. „Ab ovo”; w 2013 roku – pierwsza reporterska książka pt. „Znowu w grze”, której fragmenty przedrukowywano w prasie rosyjskiej i ukraińskiej.

W konkursie Castello di Duino zorganizowanym przez Stowarzyszenie „Solidarność i Poezja dla Ludzkości” nagrodzono jej wiersz „Adriatyk” oceniony w wersji polskiej i angielskiej.

I miejsce zajęła Klara Katarina Rupert ze Słowenii za wiersz „Pismo domov, izpod dežnika (Lettera ai familiari da sotto l'ombrello)”. Drugie przypadło Antonio Pedro Faro z Brazylii za „Passante”. Trzecie ex aequo z polską poetką zajęła Victoria Tudor z Rumunii za „Noapte e încă departe (La notte non è ancora venuta)”. Medalem Prezydenta Republiki Włoskiej uhonorowano Michèle Pusterlę (Chiuro, Sondrio) za „Ballata slava della guerra e della pace”. Każdy z laureatów zobowiązany jest przeznaczyć część nagrody na wybrany cel humanitarny. Temat tegorocznej edycji odnosił się do podróży – zarówno tych turystycznych, jak i metaforycznych, pomiędzy „wcześniej” a „później”.

Rozdanie nagród nastąpi 21 marca podczas kilkudniowego Międzynarodowego Festiwalu Poezji i Teatru w Castello di Duino.

Agnieszka Żądło

Adriatyk

Kamienie nie potrafią oswobodzić twarzy. Inne zimną wodą, solą miękką – bądźcie spokojne, mówiłam lekkim grzechem.

Kuliły się przed twardą skórą, kamienie spalone słońcem odciskały płaskorzeźby.

Obłaskawcie moje porcelanowe fasady i uczynicie z nich święte kolorowe witraże jak w kościele franciszkanów w Puli. Cicho uformujcie z nosa barykady obronne, w piwnych oczach uczynicie przystanie,

a stwórzcie w nich zielonkawe morze –Adriatyk, którego nie trzeba nazywać, by statkom nie było ciasno w żreńcach.

Aż wpadną z powrotem do czystej wody Wyciągnięte siłą przez piaskowe tricepsy Kamienie, które utopionymi marzeniami.

[ad]

Zwyczajnie chodzę do lasu na śmieci

Z aktorem Wiktorem Zborowskim rozmawia Miroslaw Majewski

Miroslaw Majewski: – *Od naszego pierwszego wywiadu upłynęło już kilka lat, spokaliśmy się nawet w Zabrzu na przedstawieniu „Boskiej”, w której wystąpiłeś ponad 200 razy. Ale pierwsze pytanie, które muszę Ci zadać dotyczy filmu produkcji łotewskiej „Ausma”. Czy mógłbyś nam uchylić rąbka tajemnicy tej produkcji?*

Wiktor Zborowski: – To niezrealizowany scenariusz Sergiusza Eisensteina o Pawce Morozowie, chłopcu który był tak zindoktrynowany przez sowiecki system, że doniósł na swoich rodziców. Reżyserka Laila Pakalnina przeniosła akcję w lata sześćdziesiąte do kolchozu „Ausma” czyli Świt, gdzieś na radziecką Łotwę.



– *Ty, aktor z Polski grasz jedną z głównych ról w filmie łotewskim. Jak do tego doszło? Casting, telefon od reżysera, czy może jeszcze coś innego?*

– Całkiem banalnie. Laila szukała bardzo wysokiego aktora do roli miejscowego politruka. Nie wiem jak to się stało, że nie znalazła wśród aktorów łotewskich, przecież Łotysze są bardzo wysocy. Chciała nawet namówić litewskiego olbrzymia, fenomenalnego koszykarza Arvidasa Sabonisa. W końcu za podszeptem polskiego koproducenta, nawiasem mówiąc Estończyka mieszkającego w Polsce „zgulowała” mnie, zobaczyła moje filmy i trochę się na mnie uparła, bo piętrzyłem rozmaite(głównie językowe) trudności. Przekonała mnie jednak i bardzo jestem jej za to wdzięczny, bo wziąłem udział w niezwykle pięknym, wstrząsającym, artystycznym filmie.

– *Zagrałeś w „Boskiej” ponad 200 razy, w tym raz w teatrze telewizji na żywo, w*

związku z tym mam do Ciebie dwa pytania, czy grając po raz dwusetny gra się inaczej niż za pierwszym razem i jaka jest różnica, o ile w ogóle jest, pomiędzy teatrem telewizji a tym klasycznym?

– Ja gram zawsze tak samo. A w telewizji, jak to przed kamerą, trzeba grać trochę oszczędniej aby mimiką nie wypłoszyć widza sprzed ekranu.

– *A teraz trochę z innej beczki, na wielu fotkach, które krążą w sieci palisz fajkę. Odnoszę wrażenie, że fajka od jakiegoś czasu stała się nieodzownym atrybutem Twojego image. Mam rację?*

– To przypadek. Teraz rzadziej palę fajkę, ponieważ trochę wróciłem (niestety) do papierosów. A wróciłem „z nerw” na planie Ausmy, gdzie kułem kompletnie niezrozumiałe, luźno połączone litery języka łotewskiego, który mimo że nie należy do grupy języków ugrofińskich szalenie przypomina mi węgierski i fiński jednocześnie. Może dam radę znowu rzucić papierosy, choć wiem jak to jest trudne. Ale łotewski, jeszcze trudniejszy.

– *W jednym z wywiadów powiedziałaś: „Wielkim szczęściem było dla mnie zagranie kilkaset razy Papkina w „Zemście” w reżyserii Gucia Holoubka, co wieczór wchodziłem na scenę „Ateneum”, doznając wielkiej radości. Dziś gram w fantastycznej Boskiej w Teatrze Polonia. Ale było też wiele spektakli, których po prostu nienawidziłem. Wchodziłem na scenę jak na ścięcie. W filmie czy telewizji też czasem bywało podobnie”. Nie pytam o tytuły, bo nie wypada, interesuje mnie coś innego a mianowicie, czy zdarzało Ci się zmienić nastawienie do spektaklu, którego na początku nienawidziłeś?*

– Nie zdarzyło mi się. Dlatego od wielu lat niezwykle ostrożnie przyjmuję propozycje, zwłaszcza teatralne. Wiem, co to znaczy grać ileś tam razy w czymś, czego się nienawidzi.

– *Zanim zacząłeś grać na scenie grałeś na parkiecie, chyba nie wszyscy wiedzą, że byłeś reprezentantem juniorów w koszykówce. Powiedz mi, czy istnieje jakiś związek, jakieś pokrewieństwo pomiędzy sportem, w tym wypadku koszykówką a aktorstwem?*

– Ja takich związków nie zauważam. Ludzie przychodzą na mecz, bo nie wiedzą jak się skończy a do teatru przychodzą nawet jak wiedzą jak się skończy. Stąd nieśmiertelność klasyki. W sporcie, nie do pomyślenia.

– *Pomimo tego, że stałeś się jednym z najbardziej rozpoznawalnych aktorów w Polsce nie porzuciłeś sportu, Twoja pasją stał się golf. Dlaczego akurat golf?*

– To fantastycznie wymyślona gra. Gra się z partnerem a nie z przeciwnikiem, każdy ma własną piłeczkę, obowiązuje etyka golfowa (egzamin!) i etykieta, tzw. cwaniactwo boiskowe jest nazywane zwyczajnym oszustwem, partnerzy wspólnie szukają piłek i pomagają sobie (w ramach przepisów). Obowiązuje koleżeństwo, dobre zagrania się chwali a złe przemilcza. Jest to gra w którą, o ile zdrowie pozwala, można grać coraz lepiej i uzyskiwać coraz lepsze wyniki. Jest to gra dam i džentelmenów. Nieliczne wyjątki potwierdzają tę regułę.



– *A teraz sprawy „ekologiczne”, może nie wszyscy o tym wiedzą, ponieważ mainstreamowe media o tym nie trąbią, często wybierasz się do lasu z... dużymi pustymi workami a wracasz z wypełnionymi po brzegi. I z tego co wiem, grzybów w nich nie znajdziemy, więc co?*

– Zwyczajnie chodzę do lasu na śmieci. Zbiera się tak samo jak grzyby, tylko zabawa jest lepsza bo śmieci jest więcej. Chociaż ostatnio w moich mazurskich okolicach odnotowuję postęp w stosunku do analogicznego okresu ubiegłych lat. Śmieci jest mniej! Krysia Janda, która podziela moją

(Dokończenie na stronie 4)

Zwyczajnie chodzę do lasu na śmieci

(Dokończenie ze strony 3)

pasję, sprezentowała mi kijek ze szpikulcem, tak że zbiera się łatwiej. Można powiedzieć, cytując klasyków – siły natury w służbie człowieka. Zbieram śmieci bo nie lubię spacerować po śmietniku. Polecam każdemu. Ostatnio odśmiecilem 6 kilometrów leśnej drogi. Pięknie wygląda. Chwilowo oczywiście.

– W związku z tym, że ten wywiad ukazuje się w „Gazecie Kulturalnej” miałbym do Ciebie prośbę, abys wymienił dziesięciu pisarzy, (prozaików/poetów) których cenisz sobie najbardziej.

– Littel za „Łaskawe”, Marquez, Bułhakow, Dostojewski, Konwicki, Tołstoj, Gałczyński, Mickiewicz – bez „Ballad i Romanów”, Remarque, Norwid i dodatkowo Słowacki za „Beniowskiego”. Jak widać kobiet nie ma, ale tu parytety nie obowiązują. Niestety, niestety, niestety. Ale Szymborska jest super. A może i Masłowska, ale chwilowo nie mam odwagi przeczytać.

– Wywiad ten ukaze się w styczniowym numerze „Gazety Kulturalnej”, czyli w miesiącu, w którym przyszedłeś na świat, pozwól, że tą drogą przekażę Ci urodzinowe życzenia, a więc wszystkiego najlepszego, przede wszystkim zdrowia a w następnej kolejności ról na miarę Twojego talentu.



Z fascynujących spotkań młodzieńczych (Wspomnienie o Stanisławie Barańczaku)

Ze Stanisławem Barańczakiem (1946-2014) spotkałem się dwukrotnie w Warszawie na ogólnopolskich imprezach literackich, organizowanych – trzeba przyznać: z nie lada rozmachem – przez niezmordowanego Jerzego Leszina-Koperskiego, redaktora periodyku „Orientacja”.

Pierwsze spotkanie w 1970 roku rozgłosiło w środowisku literackim jako rewelacyjny jego zbiór *Jednym tchem* (po książkowym debiucie *Korekta twarzy* z 1968 roku) w postaci poetyckiego suplementu do „Orientacji”;

formuła suplementu przyspieszała, unikało się przydługiej i kłopotliwej w tamtym czasie procedury związanej z wydaniem książki. Niebawem usankcjonowana została czołowa pozycja poety przez tom *Dziennik poranny*, zawierający wiersze z lat 1967-1971.

Drugie spotkanie w studenckiej „Stodole” było popisem Stanisława Barańczaka jako krytyka literackiego. Przebrał pod dyskusję rozdział z przygotowanego do wydania zbioru esejów *Nieufni i zadufani* (opublikowanego w 1971). I to właśnie ono utkwiło mi w pamięci szczególnie, gdyż śmiało naówczas postulowane kryterium nieufności w zastanę rzeczywistość i społeczną harmonię, rozbijając język gazetowych komunikatów i stereotypów, demaskowało fałsz, zakłamanie i ujawniało skutki moralnej destrukcji. Zmusiło ono nas – uczestników dyskusji (brałem w niej aktywny udział) do głębokiego przemyślenia społecznego sensu i artystycznej wartości własnych postaw poetyckich, bardzo zróżnicowanych wśród członków Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, do którego należałem. Postaw w sumie bliższych hasłom „małego realizmu” niż rewizjom „Nowej Fali”, zapowiadanych, prócz Barańczaka, przez Juliana Kornhausera, Adama Zagajewskiego i najbardziej wtedy przemawiającego do mnie poetycką ekspresją Ryszarda Krynickiego.

Ryszard Krynicki imponował żywiołową spontanicznością, zmysłową metaforyką, zaś Barańczak – finezją lingwistycznego rozrachunku ze sztafżem wartości-pojęć. Razem doskonale się uzupełniali.

Gdy dziś wspominam tamten gorący w kręgu młodej literatury (roczników 1940-1948) przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, uświadamiam sobie, jak zasadniczo zwrotny, jak doprawdy probierczy był to czas dla poezji i towarzyszącej jej wtedy blisko krytyki literackiej. Może nie dość od razu został spożytkowany, czemu trudno się dziwić. Wielu zaważało się, poddawszy tylko częściowo surowej terapii wątpienia. A przecież koncepcja Stanisława Barańczaka autentycznie fascynowała przenikliwością wejrzenia w ówczesną poezję i nowatorstwem w jej interpretacji. Zaskoczeni nią byli niektórzy koledzy z „Hybryd”, polemizujący na swym terenie bez frontalnego ataku. Spostrzeżenie, że czuły i czujny poeta pod pozorami harmonii, której nie daje się zwieść, dostrzega w świecie zagrożenia i zapowiedzi destrukcji – było dla mnie rewelacją i wyzwaniem. Oto poeta już nie tylko Bogu, a wprost realnemu światu, na jaki usiłuje wywierać wpływ, zadaje podchwytliwe pytania, zgłasza doń zastrzeżenia, zmusza go do tłumaczenia się, każe mu się mieć na baczności.

W konsekwencji wdzięcznym i efektywnym środkiem wyrazu stawała się dla poety ironia. Subtelna, lekkim draśnięciem nękająca strunę uwagi, to znów ostra, zdecydowana w odwracaniu perspektywy widzenia, chłozcząca, kpiąca, zdzierająca maski fałszu, za-

klamania. Poeci starszych roczników – za przykładem Wisławy Szymborskiej – odcinali się perfidnej rzeczywistości sarkazmem, drwiną. Rówieśnicy Barańczaka przyjęli postawę analitycznej rozprawy dla naprawy. Ironia była zręcznym sposobem zwodzenia cenzorów, póki się nie połapali i nie zepchnęli poetyckiej czołówki młodych nieustępliwych (choć przecież i starszych kolegów z autorytetem) w pozaoficjalny obieg. Stała się podstawowym narzędziem poetyckiego warsztatu. Wyrafinowanym środkiem przyciągającym inteligentnych czytelników, tropiących znaczeniowe niuanse, dociekających sensów dyskursywnych. W 1973 r. Stanisław Barańczak wydał zbiór szkiców krytycznoliterackich pod wymownym tytułem *Ironia i harmonia*.

Nie związałem się z „Nową Falą”, odstręczała mnie zaprzęzoną do rydwanu poezji stylistyczną publicystyką. Ale chyba w sumie niemało – jak teraz po latach oceniam – przeniknęło do mojej liryki z tamtych prawdziwie inspirujących spotkań, wzbogacając ją o walor spojrzenia ironicznego i nakierowując mimowiednie potem w stronę aforystyki. Zbawczy posiew nieufności zatem swoiście zaowocował.

Stanisław Nyczaj

Do poruszonych tu spraw nawiązuję w mojej książce *Metafizyka tworzenia* (Kielce 2007, s. 150-152).

Stanisław Nyczaj

Ulicami buńczucznej młodości

Pędzę gorącym sercem ulicami buńczucznej młodości, kiedy było nas kilkunastu, a zdawało się – więcej niż tłum.

Przedawaliśmy uparcie swój czas pod prąd, wszystkiemu na przekór, gromko wołając...

na wiatr studzący rozpalone głowy.

Lecz choć przechodniów historii nie porwał krnąbrny rytm strof ani nawet błysk gniewnych metafor – co tchu w piersiach wciąż tam powracam, pędzę gwarnymi ulicami, myśląc zawistne pogonie.

Biegnę na przełaj, roztrzucając fale wychłodzonego powietrza.

W nieukojonym uścisku z minionym drga potrącana mimowiednie struna żalu z tamtego nie-do-spełnienia.

MNIJ WIĘCEJ (119)



Foto: Zofia Mikula

Fatum czy normalność?

Jan Kurowicki, jak przystało na profesora filozofii i specjalistę od estetyki, żyje między *praxis* i *poiesis*, między *Logos* a *Mythos*. W naszym środowisku literackim mamy go głównie za poetę. I to solidnego, ważnego, bowiem takiemu autorowi nie zdarza się ani banał, ani językowa taniocha.

LESZEK ŻULIŃSKI

Najnowszy zbiór wierszy Kurowickiego nosi tytuł *Migotanie osobności* i został wydany w luksusowej formule edytorskiej, co jest charakterystyczne dla szczecińskiej oficyny Zaułek Wydawniczy „Pomyłka”. Na dodatek tom wieńczy szkic o Kurowickim pióra Andrzeja K. Waśkiewicza, który zachował się w jego spuściźnie. A same utwory? Mówię zazwyczaj o takich, że są „gęste”. I tym razem Kurowicki napisał wiersze, które się „wmyślają”. Wmyślają w rudymenty, w istotę, w „prawdę najprawdziwszą”.

Poezja filozofów ma to do siebie, że nie bawi się w galanterię, a powszechny banał byłby dla niej policzkiem. Poezja filozofów docenia estetyczną rolę języka, lecz traktuje go przede wszystkim jako narzędzie epistemologiczne i dociekliwie ideotwórcze. Koniekcje języka służą temu, by docierał on do sedna spraw. W ten sposób język poetycki dochodzi do nowych prawd, choć ich weryzm zazwyczaj nie jest ostateczny, bowiem nie widać końca sporu między prawdami a nieprawdami. Osobną rolę w tym wszystkim odgrywa mitologizacja świadomości, której sensów nie da się zweryfikować. Tak więc po napisaniu wiersza wiemy więcej i nadal nic nie wiemy na pewno, ale przynajmniej wmyślamy się w Tajemnicę. Nie wiem, czy istnieje „logika tajemnicy”, ale w wierszach Kurowickiego nieustannie o nią się ocieramy.

Stale w tych wierszach ocieramy się też o *sacrum*. Autor korzysta często z biblijnej matrycy. Ale do „poezji kapłańskiej” mu daleko, a raczej nie po drodze. Radzę zatrzymać dłużej wzrok na siedmioczęściowym poemacie pt. *Traktat niemoralny*. Gra z tytułem Miłosza zawiedzie cię, Czytelniku, bowiem Kurowicki podaje nam swoją wizję rzeczy. Oto część druga tego utworu: *Na początku była historia bogów / I herosów, // Ale zbyła się / W wiecznej grze żywiołów. // Potem królów i bohaterów, / Lecz zostały po niej / Ledwie zabytki. // Wreszcie państw i narodów, / Które tylko śnią / Swe trupie / Przeznaczenie. // Teraz, po tym wszystkim, / Nie sposób pozierać się / Z płaczu i śmiechu.*

To ostry wiersz. Demitologizujący patos różnych ksiąg oraz sprowadzający pamięć historyczną do realiów. To gorzki wiersz – pozbawiony uniesień i złudzeń. To właśnie u Kurowickiego jest fenomenalne – ta jego kulturowość wciąż zderzająca się z realizmem i tzw. zdrowym rozsądkiem. Dla mnie najistotniejsze jednak jest to, że nie czyni on tego w sposób chuligański, lecz intelektualny. Niemal każdy jego wiersz jest swoistym traktacikiem. Zdroworozsądkowym, choć – co znakomite – nie rujnującym poetyckości poezji. Bo ten autor nie zgubił liryzmu po drodze.

W całości chcę jeszcze przytoczyć wiersz pt. *Arkadia*. Oto on: *Dogorywam w małym kraju. // To taki zamknięty pojemnik na śmieci historii, / Którego nie ma gdzie i poco wypróżnić. // Rojno w nim i ciasno od istnieć przy nadziei. // Szukają one wyjścia zeń, a śmieci historii szeleszczą / I odrzucają co śmierdzą. // Niekiedy ktoś głupieje i udaje władcę, kapłana, / Proroka albo poetę. // Czasami przypadkowy domokrążca podnosi wieko / Pojemnika, szukający resztek jedzenia // Patrzy na nas z góry, obojętnie jak Bóg. / I szybko przywraca ciemność. // Pokrywa nas wtedy pleśń jak / Stary chleb. // Kwitnie i pachnie zmartwychwstaniem.*

A to Polska właśnie! Ładna mi Arkadia! Ten realistyczny sarkazm jest bolesny, ale w jak piękną parabolę poetycką włożony. To osobliwa cecha Kurowickiego: on chodzi po śmietnikach, trzymając głowę w Wielkich Metaforach. Jego turpizm wynika z jego ideałów, które gniją na oczach kolejnych generacji, zamieniających się w kolejnych barbarzyńców. Błędne koło atrofii świata coraz bardziej oddalającego się od kanonu Dobra i Harmonii. Wizja historii destrukcyjnej. I chyba tylko jeszcze wiara w wiersze idealistycznie to wszystko rejestrujące. Bo i one naprawić niczego nie mogą; pozostając głosem na pustyni.

W kolejnej partii tomiku Kurowicki przywołuje „przypadki” różnych postaci: bohaterów literackich, poetów, pisarzy. To ciekawe sploty powikłań między sztuką a życiem, sukcesem a klęską. Wiecznie ten

splot między dobrą nadzieją i intencją, a klęską doświadczeń. I narastający rozpad kolejnych ideałów, które rodziły się w głowie, lecz ciemniały w oczach. I takie oto zdanie: *z wolnością bawisz się w młodości.*

Egzemplifikacje tych wszystkich rozczarowań toczą się w tym zbiorze od czasów Antyku po nasz dzisiejszy dzień. Ta ogromna przestrzeń historyczna i kulturowa powoduje, że Kurowicki ucapia jakiś mechanizm. Może to fatum, może przeznaczenie, może tylko normalność, na którą nie zgadzamy się lub której nie pojmujemy? Tak czy owak wyjdziecie z tej lektury bez nadziei na własne szczęście.

W końcu poeta dobiera się do samego siebie. Mamy tu garść bardzo prywatnych zwierzeń. Ale i one mroczne. Jedna z point brzmi tak: *...jestem tylko rytmem senności. Ona spaja pory / Doby. Władza mymi stopami. Ten rytm to echo świata. Marudzi tu moja / Obecność i usiłuje się z nim pogodzić.* Smutny to koniec, ale wysnuty z bagażu lat i doznawania starości. Na szczęście Kurowicki nie wpada w tony tetryka, nie widzę tu nawet roztrzęsionej skargi. Mam go za stoika. Lecz zrozumiałe, że nawet stoika szlag trafia, gdy patrzy na świat z perspektywy dwudziestu wieków i na własny żywot, który jest li tylko wypełnieniem Klęski wpisanej w Matrycę.

Po przeczytaniu tych wierszy zadawałem sobie pytanie, czy świat nie mógł się potoczyć lepszą dla nas drogą? Zapewne były powody, że nie mógł. Jedyna nadzieja, Janku, w tym, że niedługo wszystkiego się dowiemy. Ale i obawa: czy to, czego się dowiemy, nie będzie jeszcze gorsze?

Jan Kurowicki
Migotanie osobności

Jan Kurowicki, „*Migotanie osobności*”. Opracowanie graficzne: Rafał Babczyński, Zaułek Wydawniczy „Pomyłka”, Szczecin 2014, s. 110.

Jerzy B. Sprawka

Próba rozejmu

Oddzielmy wreszcie
od mięsa ten nóż
co we mnie
i w ciebie po rękojeść wrósł

bezzadna nasza miłość
tuła się teraz
po łąkach wrzosowiskach
hotelowych pokojach
parkowych alejach
miedzach pośród zbóż
w poszukiwaniu łańców
maków czerwonych jak pierwsza krew

niewiarygodna cisza i smutek

w kielichu dzwonu
z wyrwanym sercem
gdy przebrzmiał ostatni gong
wirują donośne echa
wyrzucanych w ekstazie słów
zachwytych wulgarnych
i przekleństw
ty przecież każdy schodek
we mnie
i ciemne korytarze mózgu znasz
więc czemu milczysz

gdzie twego milczenia kres

Popatrz
w buzi Ani niedźwiadek zasypia
w tobie szczygiel zaczyna się tłuc
we mnie budzą się złotodziobe kosy

Chodź
bez żalu
zakopimy ten nóż

Mgła

To nic
że twoje ręce są nieczułe i chłodne
jak serce cmentarnego anioła
z modlitewnie złożonymi skrzydłami

to nic
że twoje usta
są jak celnie wymarzony cios
precyzyjnie wyostrzonej stali

to nic
to nic

Powracam do Ciebie nieustannie
gnany watahą najdzikszych
miłosnych bardzo morderczych
pragnień i zamiarów
rozpędzony burzą nadśluchuję
oddechów cieni

które na zawsze pozostały
w magicznych miejscach –
u podnóża omszałego klasztoru
pod krzakiem dzikiej róży
na starym kirkucie
na stercie słomy rozgrzanej
jak chlebowy piec
skąd pierzchnął oniemiały zmierzch

ty wiesz ja wiem
czy nasycić głód
osamotnionych dłoni
prawda

dlaczego więc opadasz na mnie
zwodnicza jak poranna mgła
śliska od wilgoci

Jarosław Zieliński

Pytania

Cóż złego może być w paru słowach
coż złego w paru zdaniach
Cóż złego w kilku pocałunkach
dotknięciach gorących serc
płomiennych spojrzeniach...
To tylko przystanek w biegu
złączone dłonie rozdzielone spojrzeniami
Jesteś jeszcze młody
wiele spojrzeń i wiele dłoni
Pytasz coż złego?

Ja

A może jestem tylko samotnym wędrowcem
ciemną sylwetką w świetle latarń
I nikt nie ujrzy mnie płaczącego
nad grobem przyjaciela
Nie mam przyjaciół – i nie umiem płakać

Jestem głosem waszego świata
waszych myśli...
małym chłopcem zastygłym w biegu
niedorosłym, choć widzącym tak wiele
by bieg stał się wiecznością

Wy, którzy chcecie mnie wysłuchać
chcecie mnie odnaleźć
Usłyszeć mnie
ale odnajdujecie tylko siebie

Słuchaj

Rozbij diamentowe wazy
w tysiąc iskrzących się kamieni
Podnieś jeden
na wyciągniętej dłoni ku słońcu
Zanim oślepi Cię jego spojrzenie
zobaczysz wnętrze zdarzeń
ciemne ścieżki przyszłości
W słońcu? Dziwisz się – czy to możliwe?

Tak – lecz może nie każdy...
Ty również

I odszedł w tłum pełen marzeń
z opuszczoną głową
Patrzyłem na niego – i zrozumiałem
że on nie potrzebuje ofiar z diamentu
Chciałam go dogonić
ale było już za późno
by powiedzieć skłamałam

Wizje w błękicie

Błądzą wśród tych samych ulic
twarze i kurz
tysiące lamigłówek z bezbarwnych elementów
Otwieram szklane drzwi – pustka i chód
Jakże często zatrzymuję się
pośrodku długiego korytarza

Stąd prowadzi wiele dróg
każda kończy się płonąca przepaścią
poznałem je
widziałem tych, którzy zrobili pierwszy krok

Ale nie można spalić marzeń
widzę ten obraz – wizję w błękicie
on będzie jedyną ucieczką
dopóki nie znam innej... jedynej
Jest w nim spokój i muzyka
tańczące sylwetki na tle księżycy
Jest tak wiele – dla mnie i...
Chciałbym móc ci go opowiedzieć
Tobie? A może jej?
Jeszcze nie wiem, czy to ty właśnie
tańczysz pośrodku

Wiem już, że i ogień jest drogą
Ale czy za nim są właśnie te drzwi?
Nikt stamtąd nie powrócił
by opowiedzieć

Chodź ze mną – dojdziemy do skrajnej
przepaści
i wtedy powiesz mi czy mnie kochasz
Podasz mi rękę
a płomienie będą tylko oświetlać drogę
Dotkniesz moich warg i klucz przekręci się
w zamku

Za bramą odnajdziemy mój świat

Pieśń o zmroku

Dziewczyno, dziewczyno powiedz mi
dlaczego twoje włosy lśnią tylko
w świetle księżycy
Dziewczyno powiedz
dlaczego w nim tylko mogę zobaczyć
błękit z odległości pocałunku
A może lepiej nic nie mów
prócz jednego
czy świt nie pozbawi nas marzeń
i drogi pozostaną tak proste

Sylwia Gibaszek

Prolog do Sylwii

zupelnie nie wiem jakie znaczenie
ma to, że życie pisze mnie z takim zapalem
rozwiesza girlandy stów
klucze wiolinowe
rozciąga przed oczami syskie bargielskie
wizje halucyjne mistykogenne
rafy koralowe
lazuryty
Bajkał

zupelnie nie wiem jakie znaczenie ma to
że życie maluje mnie tak jaskrawo
turkusowe
malachitowe
szafirnie
jak na obrazach Fridy Kahlo i Joana Miró

zupelnie nie wiem
boja chcę tylko
powiedzieć o tobie
jak wychodzisz rano zza mgieł
i płowego od porannego wybielacza
księżycza

odkrywasz kołdrę by patrzeć mi w oczy
kiedy jeszcze śpię

wtedy najmocniej uderza we mnie
że jestem
pod skórą
podświadomie
astralnie
transpersonalnie

ponad ludzkie pojęcie

* * *

samotność jest jak echo

odbijające się niczym piłka o fale

jest gniazdem
które można wypełnić

obrazami
dźwiękami
kwiatem łubinu
krajobrazem

tylko jak długo można uciekać
w życie wewnętrzne

jak długo można uciekać w sztukę
głaskać ją tulić
niczym kota albo psa

którego z głębi siebie nie ma już
czym nakarmić

* * *

jestem pomiędzy
szepem wiatru w wiśniowych liściach
pomiędzy ulewnym deszczem
a ufnym snem na hamaku w twoim ogrodzie
chlone żywioły
sól

zmysły mam rozwarłe zawsze jak źrenice po
LSD

pomarańcze komety chryzantemy
samoloty mgławice andromedy
Ariadny z Naxos, Eurydyki senne
i te biegnące z wilkami

wszędzie bywam
nigdzie mnie nie ma
bezdonna w swoim umyśle
oderwana uśpiona monada

zatańczę wam jak sama sobie zagram
nie musicie płacić
za mój występ
mój solo show jest spektakularny
choć nie jestem Lady Łazarz

* * *

Pełna gęstej jak żywica tęsknoty
twardniejącej z każdą nocą
podmucha wiatru
a ty jesteś w niej zalakowany
niczym owadzie skrzydło
w bursztynie
zamkniętym na piasek
moje dłonie otwarte tak mocno
kamienie pod stopami
kawałki wypalonego drewna
żłobione przez wodę
przyklejam na plaży do swoich obrazów
wyznaczających tor latawcom
gdy kitesurferzy piszą na falach
morską odyseję

Eliza Segiet

Smuga ciszy

Wypiękniała miłością.
Ubrała swoje uczucia w muzykę.
Myślała, że usłyszy.

Wypiękniała miłością,
lecz smuga ciszy nie pozwalała
na rozmowę o nich.
Zbyt daleko, aby być
zbyt blisko
aby zapomnieć.

Winne wrota

Zamknęłam dom szepczący ciszą,
przez winne wrota przeszłam
posłuchać morza.
Śpiewało:

rozkołysz się ze mną
rozkołysz się we mnie
i pojmię świat

Wtulona
w muzykę życia,
rozkoszuję się chwilą.
Moje myślnie fantasmagorie
zawsze są za winnymi wrotami
raju
Mojego raj

Urwisko

Jeszcze pamięta
jak stali nad urwiskiem,
wpatrzeni w zatokę.
Zakochani.
Czuła woń nadmorskiej bryzy
i jego pachnącego pożądaniem.
Na zmarszczonej tafl
blask zachodzącej latarni.
Zawołowani parasolem miłości,
wpatrzeni w siebie.
Otuleni przeszłością,
kontemplowali przyszłość.
Natchnieni sobą –
rozkwitali!

Kamień

Mignęła w twoim życiu
jak przecinek od codzienności.
Czemu ją ludziłeś?
Udawałeś brylant,
a jesteś tylko szkłem,
które rani.

Nie jesteś brylantem,
bursztynem,
nie jesteś nawet szkłem.
Jesteś kamieniem!

Kamień

Kiedy zamykam się w domu
słyszę siebie.
Żeby móc usłyszeć świat:
wychodzę.
Smakuję jego
przestrzenie,
wibrację i aromaty.



Danuta Gil-Łowkis

Stefan (I)

Niniejszy tekst jest częścią większej całości, z której Autorka wydzieliła rozmyślenia jednego z bohaterów. To historia o losach całej rodziny, której w tych samych warunkach, postawy i wybory były inne.

Bywają dni, o których trudno coś sensownego powiedzieć. Jesteśmy, a wokół próżnia, obowiązki i jakiegokolwiek potrzeby stają się nieważne. Właśnie taki dzień nadszedł po śmierci Leszka, mego brata. W swym ośpieniu byłbym nawet przegapił pukanie do drzwi. Przyszła Zuzia – jego żona.

Staliśmy w przedpokojach, ponieważ stwierdziła, że się spieszy. Nie wyglądała na roztrzęsioną, raczej na zmarzniętą. Jej opanowanie nie zaskoczyło mnie. Brat długo chorował, może dlatego sądziłem, że od dawna jest pogodzona z losem, z tym, że dalszy ciąg życia będzie prowadziła samotnie. Zresztą, co to za samotność? Mieli dzieci, mieli nawet wnuki, więc teoretycznie nie istniał powód, by czuła się krańcowo opuszczona.

Było mi nieswojo z gościem w przedpokoju, dlatego mimo wszystko próbowałem namówić ją na gorącą herbatę. – Dziękuję, nie – powiedziała zdecydowanie. Chwilę się zastanawiała, po czym zaczęła: – Stefan, byłeś ministrantem.

– Ministrantem? – zapytałem zdumiony, myśląc równocześnie, co też jej przyszło do głowy, jednak ona się upierała. – Byłeś. Leszek mi mówił. Razem służyliście do mszy.

– Rzeczywiście, to prawda, lecz od tego czasu upłynęło ponad pięćdziesiąt lat, więc się nie dziw... – chciałem zdarzenie skomentować, lecz przerwała.

– Uroczystości pogrzebowe odbędą się w czwartek, w kościele świętego Wojciecha. Zamówiłam mszę i mam nadzieję, że przyjdiesz.

Przytaknąłem kompletnie zaskoczony podejrzeniem, że mógłbym zachować się nieestosownie, a ona uzasadniała decyzję, mówiąc ni to do siebie, ni to do mnie: – Wiesz, on tak chciał, chciał odejść z Bogiem. Jestem tego prawie pewna i dlatego musiałam zamówić mszę, ale co będzie, jeżeli nikt nie przystąpi do komunii?

Spojrzała mi w oczy, więc uznałem, że powinienem coś powiedzieć. – Zadajesz dziwne pytanie. A co ma być? Czego oczekujesz? Nic się nie stanie.

– Zaprzeczyła ruchem ręki i dodała: – Nie masz racji, to nie tak.

Coś jej chodziło po głowie. Przez chwilę mamrotała pod nosem, pomyślałem nawet, że traci jasność myśli, ale wtedy zaczęła mówić składnie, najpierw wolno i cicho, potem coraz wyraźniej.

– To ostatni moment, w którym można z nim być. Ci, którzy przyjdą go żegnać, powinni wiedzieć, że po świecie nie wędrował sam, że ktoś go wspierał. Zrozum tylko, przecież komunია to symbol wspólnoty – mówiła jakoś nienaturalnie pobudzona. – Trzeba iść do komunii, trzeba! – zakończyła zdecydowanie.

Staliśmy w ciszy. Na zewnątrz pogwizdywał wiatr i siał deszcz. Myślałem, że chce odejść. Poprawiła płaszcz, wyjęła z kieszeni chusteczkę, którą przetarła twarz, i powiedziała: – Jemu się to należy, a ja tego zrobić nie mogę, nie umiem, a tym bardziej moje dzieci. W całym życiu byłam na mszy może z dziesięć razy, a one jeszcze mniej. Dlatego proszę cię...

Zaskoczenie było całkowite. Upłynęła chwila, zanim zrozumiałem, czego ona ode mnie oczekuje, i wtedy falą gorąca objawiła się złość, złość, która narastała, bo podsycał ją wstyd, że na wykonawcę zamysłu wybrała mnie.

„Przecież ona wysłała mnie do komunii! I to jak? Jak po papierosy! Co ona sobie wyobraża! Za kogo mnie ma, niby kim w jej oczach jestem? Człowiekiem bez jakichkolwiek zasad, zdolnym do wszystkiego?” – przemknęło mi przez głowę i natychmiast pojawiły się różne określenia, których była godna. Wiedziałem, że uważa mnie za najgorszego z najgorszych, ale żeby aż tak! Mimo wszystko należało się opanować.

Żadne z nas nic więcej nie powiedziało. Gdy wyszła, wróciłem do pokoju, gdzie czekała przygotowana wcześniej kawa. Sięgnąłem po nią, ale była kompletnie zimna. „Trzeba ją wynieść do kuchni” – stwierdziłem, lecz chcąc zastanowić się nad zdarzeniem, usiadłem w fotelu i zastygłem. Nie przeszkadzał mi dzwoniący telefon, którego nie zamierzałem odebrać, tylko wrzeszczące na podwórku dzieci. Przymknąłem oczy i zobaczyłem Leszka. Jak nigdy dotąd zapragnąłem jego obecności, chociażby po to, by zapytać, dlaczego ktoś taki jak on związał się z tą kobietą. Upływał czas. Próżnię z porannych godzin zastąpiło silne wzburzenie. Potrzeba uspokojenia i ładu wywołała wspomnienia ważnych i zupełnie nieistotnych zdarzeń w moim i Leszka życiu. Byłem świadom, że się gubię. Powstały zamęt chciałem opanować, lecz metody, by się z tego stanu wydobyć, szukałem z trudem.

Wąwóz – który wciąż widzę w szczegółach – dobiegając do rzeki, wytracał głębokość i znacząco się poszerzał. Płynący jego dnem strumień miał chimeryczne obyczaje, co rusz zmieniał trasę. Bywało, że z jednej strony przylegał do łysej skarpy, lecz pole z drugiej opuszczał leniwie, pokrywając je niewidoczną, ukrytą w zielonej łące warstewką wody. Zbocze od strony łąki było łagodne, porośnięte mniej dorodną trawą, lecz upiękkszzone różnymi kwiatami oraz przycupniętymi tu i ówdzie jodełkami, wśród których wila się ścieżka prowadząca poprzez zagon jęczmienia do zabudowań. Strumyk szemrał, omywał sterczące z dna kamienie i podskakując od czasu do czasu, podrzucał niewielkie kłębki wody, jakby wysuwał oko, by zerknąć, czy wciąż towarzyszy mu wstęga bielonego na brzegu płót.

Wąwóz, nazywany też rowem, był częstym miejscem naszych zabaw. Raz budowaliśmy dom. Po długich naradach powstał pomysł, by zacząć od pieca, na którym można by ugotować własny obiad. Gdy role zostały podzielone, praca ruszyła. Kornel z Bronkieni wycinali płyty darni i układali z nich porządny piec, Bolek nad rzeką łowił ryby. Pętająca się wśród nas Malutka miała przygotować deser. Siedziała więc na stoku i zbierała poziomki, a ja z pomocą Leszka segregowałem przywleczony wcześniej susz. Organizacja pracy była wzorowa, mimo to zapomnieliśmy o ziemniakach. Ktoś krzyknął: – Leszek, weź garnek, skocz na czyjeś pole i ukop trochę. – Leszek rzucił na ziemię trzymaną wiązkę patyków i bez słowa ruszył w kierunku sosny, która rosła na zboczu podmytym w czasie ostatniej burzy. Czepiając się jej korzeni, wszedł na szczyt, ponieważ stąd było najbliżej do zagonu ziemniaków grubej Jadwisi, spojrział na kartoflisko i bez widocznego powodu pobiegł w przeciwnym kierunku. Od chwili, gdy zasłonił go sąsiadujący z polem młody brzeźniak, upłynęło sporo czasu, może nawet godzina. Pojawił się na ścieżce prowadzącej do źródła. Szedł wolno, mocno utykając, a garnek z kilkoma ziemniakami ciągnął za sobą na sznurku. Był czymś lub przez kogoś niezłe wystraszony, bo uważnie obserwował mijane jodełki i wciąż spoglądał za siebie. – Żadnego nie zgubiłem – powiedział z ogromnym przejęciem. Kolana i ręce miał pokaleczone, ciekła krew, ale o tym, co się stało, nie wspomniał. Usiadł na obrzeżu placu zabaw, przy kamieniu nazywanym przez Bolka kopytem diabła, i śliną zmywał stróżki krwi.

Miałem wtedy dziesięć lat, a Leszek o trzy lata mniej, do tego był drobnej budowy. Skulony i obolały tego dnia wyglądał szcze-

gólnie mizernie.

– No, gdzie te ziemniaki? – wrzasnął Broniek, który lubił dominować nad słabszymi.

Leszek próbował się zerwać, lecz widocznie ból był zbyt dotkliwy, bo nie wstał, tylko skulił się jeszcze bardziej. Ja, udając, że nie słyszę w pytaniu napastliwego tonu, odpowiedziałem spokojnie: za tobą. W Bronka często wstępował jakiś niespokojny duch, podjudzający go do bójkii lub co najmniej do zwady, dlatego z zadziornością oznajmił, że ziemniaki są oblepione piaskiem i trzeba je natychmiast umyć. Przez moment chciałem wziąć ciężar zaczepki na siebie, ale ostatecznie burknąłem: – To sobie umyj! – i odszedłem na kilka kroków w kierunku rzeki. Leszek wciąż ślinił swoje rany, Kornel z trudem rozpałał ogień, a Broniek, często w złym humorze, nie wiadomo w jakim celu postawił na piecu odrobinę dziurawy garnek pełen wody i nieświadomie przyduśił ogień. Był to moment, gdy znad rzeki wrócił Bolek, niosąc dwie nieduże rybki. – Nic z naszego obiadu – powiedział. – Złowiłem za mało. Może jutro złowię więcej, a te dwie oddamy kotom. – Widząc zakłopotanego Bronka, pocieszył go: – Nie martw się. Jutro dziurę w garnku zatkamy szmatą i poprawimy piec. Dziś kartofle można wrzucić do ogniska, ale trzeba się spieszyć, bo za chwilę zawołają nas na domowy obiad.

Był najstarszy i on rządził. Wygarnęliśmy z paleniska żar i gorący popiół, którego było wystarczająco dużo, by upiec ziemniaki. Z końcem uczyty z domu dobiegły nawoływania. Ruszyliśmy natychmiast. Niemal przed domem, w miejscu gdzie rozwidlały się nasze drogi, Bolek stanął i zapytał: – A gdzie Małenka?

– Chyba została – powiedziałem. – Bolek nakazał Leszkowi wrócić, a on posłusznie wykonał polecenie i powoli zaczął znikać za jodłami. Byłem już blisko podwórka, lecz coś podpowiedziało mi, że też powinienem zawrócić. Gdy dobiegałem do łąki, zobaczyłem Leszka, jak stał nad ugaszonym ogniskiem i próbował znaleźć jakiś zapomniany ziemniak, ale wszystkie były wygrzebane. Po chwili podniósł kawałek spalonej łupinki i zjadł. Widząc to, zawstydzilem się, bo uczestniczyłem w zabawie, udając razem z chłopakami, że Leszka nie ma, że gdzieś poszedł, więc nie ma potrzeby dzielenia się z nim czymkolwiek, gdy tymczasem on siedział obok, milczał i tylko dziwnie na nas spoglądał.

Wśród różnych myśli jedna była wyjątkowa: „nie mam brata”. Krótkie, proste zdanie wobec zaplątanych słów, obrazów, zgrzytu zawiasów w stodole czy skrzypienia śniegu. Pojawiła się nagle, jakby światło rozproszone w okolicy skupiło się i uderzyło we mnie.

„Nie mam brata”.

Te trzy słowa zaczęły coś porządkować, przybliżać mnie do jakiegoś sensu. Nie wiedziałem, dokąd mnie prowadzą i nie wiedzia-

łem, czy chcę tam iść.

W ten sposób po raz pierwszy w sprawie mojej egzystencji nieoczekiwanie wkraść się czynnik irracjonalny. Dotąd sprawy bytu były sprawami filozofów, nie moimi. Nie potrzebowałem wiedzy chociażby o tym, że są różne rodzaje nieobecności, taka zwykła, przyjemna i druga, podobno prawdziwa, niepojęta, gdzieś w kosmosie łącząca w jeden niebyt nienarodzone dziecko i śmierć starca. Moje myśli nigdy wcześniej nie poruszały się takimi torami.

„Nie mam brata!”.

Odkąd zacząłem zapamiętywać świat, brat zawsze był, raz w bliskości, raz w oddali, ale był. Nawet nie przemknęło mi przez głowę, że jego obecność z jakiegoś powodu jest dla mnie wyjątkowa i bardzo ważna. Przez wszystkie lata niczego od niego nie chciałem, nie oczekiwałem, bo i cóż Leszek mógł mi dać? Uważałem, że żaden z nas nic nie miał. Czym mogliśmy się obdarowywać, nic nieznaczącymi drobiazgami? Tego dnia spojrziałem na to inaczej, bo Leszek, odchodząc, coś mi jednak sprezentował. Swoim zwyczajem w dyskretny sposób zostawił problem – pustkę, która będąc z pozoru niczym, powoli zapełniała się niespodziewanymi myślami.

„Nie mam brata”.

Tylko trzy słowa, a potrafiły wydobyć myśli świadomie usypiane, spychane gdzieś na pobocze, uznane kiedyś za zbyteczne. Dopiero gdy go brakło, dotarło do mnie, że zawsze chciał mi coś powiedzieć, coś przekazać, ale ja nie byłem gotów słuchać i on o tym wiedział. Dlaczego przykładamy wagę wyłącznie do myśli przekazywanych słowami? Czyż nie głębiej dociera do nas gest lub grymas twarzy? Szukałem odpowiedzi. Po chwili przypomniałem sobie, że Leszek najwyraźniej nie lubił słów, posługiwał się nimi oszczędnie, on mówił tym wszystkim, co go stanowiło.

Nie mam brata, nie mam brata... powtarzałem kilkakrotnie, aż pojawiła się świadomość, że nigdy nie używałem tego słowa. Mówiłem o Leszku, myślałem o Leszku. Brat z Leskiem nie ma nic wspólnego. Brat jest pozbawiony barwy, specyficznej dla każdego z nas treści, a w wypadku Leszka w szczególności jego umiaru, łagodnego głosu i umiejętnie opanowanych gestów.

Być bratem... Co to właściwie znaczy? Czy nim byłem? A jeżeli tak, to kiedy nim byłem?

Zagłębiłem się w minione lata, szukając tam wyjaśnienia, a znalazłem małych chłopców znad strumienia przejętych zabawą czy to na skarpie obrośniętej poziomkami, czy na nadrzecznej łące, czy w lesie. Przyglądałem się naszym radościom i łekom, bo przecież wtedy, w dzieciństwie, coś w nas kiełkowało, coś się stawało, by z czasem umocnić się i w swoisty sposób naznaczyć. Może piętnem Kaina lub Abła?

O szyby uderzały krople, bo deszcz rozpadał się na dobre. Podwórko opustoszało,

zaległa cisza, a ja zanurzony we wspomnieniach poczułem przyjemność i ulgę. Nie, nic godnego uwagi nie odkryłem, ja tylko zrozumiałem, że mimo śmierci rodziców i Leszka, oni wciąż ze mną są, bo są w mej pamięci.

Powiadają, że każdy z nas jest po części dobry, po części zły. Jeżeli to prawda, to moje najlepsze „ja” musiało się odezwać w chwili, gdy pomyślałem, że dobrze było z nimi być. A co z najgorszym „ja”? Które odzywało się częściej, a które okazjonalnie?

Zasychało mi w ustach, bezwiednie rozglądałem się za czymś do picia, ale nie wstałem z fotela, ponieważ ważniejsze były powroty do rodziny, do naszego domu i losu – do dawnych lat. Rozmyślenia utrudniał szum deszczu, który zacierał ostrość wspomnień, relatywizował je i byłym może udzielił, że takie roztrząsania minionych zdarzeń nie mają sensu, gdyby nie pamięć. Pamięć to coś niezwykłego i wyłącznie naszego. Umie różnicować i oceniać. Gorliwie wyszukuje i przywraca jasne chwile, a czernie zagrzebuje gdzieś w zakamarkach lub usuwa z naszej świadomości. Z tej racji każdy z nas ma prawo uważać się za porządnego człowieka, mimo że wszyscy ludzie mają coś na sumieniu. Przy okazji odkryłem, że żaden późniejszy postępek nie tkwi we mnie takim poczuciem winy, jak ten z okresu dziecięcej zabawy. Jedna skorupka spalonego ziemniaka gnębi mnie do dziś, może nawet dziś mój wstyd ma dużo silniejsze rumieńce.

Leszek, mały umorusany brat – Jedwabny. Już go nie ma. Ciekawe, czy wiedział, kto go tak nazwał. Był z nas jedynym, który miał przezwisko. Czy to go bolało?

Wstałem, gdy złapały mnie dreszcze. Wiało od balkonu, więc poprawiłem źle domknięte drzwi, przez które wdierał się chłód, i poszedłem do kuchni po szklankę gorącej herbaty. Sam nie wiem, kiedy łączywie ją wypilem. Zziębnięte nogi owinąłem ciepłym szlafrokiem, wtuliłem się głęboko w fotel i ponownie wróciłem do rozmyślań. Dziecięce lata zapisane w zakamarkach mózgu wróciły jak żywe.

Ta niedziela była gorąca, sierpniowa, pełna zapachu kwiatów, które przygotowane przez Malutką wędły w koszyczku. Malutka to nasza samodzielna i wymagająca trzyletnia siostra Marysia. Nie ta sukienka, nie te buciki, raz chcę, raz nie będę, grymasząc tak, zazwyczaj kręciła się między nami jak bączek, świadoma miłości, która ją otaczała i wyróżniała. Pamiętam jej marudzenie: „Chcę kokardę z kwiatkami, chcę kokardę z kwiatkami, chcę...”.

Wybieraliśmy się do kościoła. Moment wyjścia jak zwykle się odwlekał. Malutka siedziała na krześle wyprostowana niczym królowa. Miała na sobie białą sukienkę ozdobioną kolorowym haftem, białe skarpetki i czarne lakierki. Była bardzo zadowolona z własnego wyglądu, ale nie zauważała zachwyty innych, więc z dziecięcą przebiegłością

starła się wymusić zainteresowanie. Majtała nogami, demonstrując błyszczące buciki, a upominanie się o ukwieconą kokardę w rzeczywistości było informacją, że chodzi o kwiaty na najpiękniejszej ze wszystkich sukience. Tego dnia rodzice nie reagowali na jej kaprysy; prawdę mówiąc, nikt nie zwracał na nią uwagi. Mama czekała na ciotkę i niecierpliwie zerkała w okno, ojciec kręcił się nerwowo po mieszkaniu, raz szukając czegoś w kuchni, raz w pokoju, a czasami z jakiegoś powodu spoglądał na daszek przykrywający ganek. Staliśmy z Leszkiem obok stołu, popatrywali na siebie przekonani, że coś się musi wydarzyć. Tuż przed wyjściem ojciec bez powodu wezwał nas do pokoju obok. Z jakiegoś względu właśnie tam poinformował, że po mszy pójdą z matką do księdza, prosząc równocześnie z bardzo skupionym wyrazem twarzy, byśmy w czasie ich nieobecności zaopiekowali się Malutką.

Podświadomie wyczuwaliśmy, że chodzi o wojnę. Wojna toczyła się za wysokim lasem, a może za miasteczkiem. Wiadomo było, że jest, ale żaden z nas jeszcze jej nie widział, mimo to sprawiła, że ta niedziela okazała się przełomem na skalę nieprzewidywalną nawet przez dorosłych.

Wyprawy do kościoła były przez nas lubiane nie tylko z powodu odświętnych ubrań. Tam istniał inny świat, a przy tym mogliśmy się przyglądać księdzu, który był ciekawym, a nawet niezwykłym zjawiskiem. Małą intrygową czarna suknia, którą nosił, ale zdecydowanie bardziej interesowały ją bujne, kręcone włosy, ponieważ u nikogo ze znanych jej osób takich nie widziała. Natomiast Leszek był przekonany, że ksiądz to ktoś, kto potrafi przebywać wśród ludzi, ale także wśród duchów, co bardzo mu imponowało, tak bardzo, że od czasu do czasu miewał ochotę zapytać, jak się to robi. Któregoś dnia uznał jednak, że pytać nie będzie, bo ciągle jeszcze duchów się boi, ale obiecał nam, że jak podrośnie, też się tego nauczy.

Dla mnie ksiądz Deres był osobą po części tajemniczą, po części podejrzaną. Rodzice uczyli, że za kościelną bramą jest miejsce święte. Uważałem, że coś z prawdy w tym jest, ponieważ wszyscy, szczególnie dorośli, po jej przekroczeniu zmieniali się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. I to, moim zdaniem, było w porządku. – Bo przecież – myślałem sobie, przyglądając się malowidłom na wąskich, podobnych do wieka trumien deskach – w obecności tych ciemnych obrazów, z których patrzą jacyś może ludzie, a może naprawdę święci, dziwnie pachnie dym, Broniek żarliwie się modli, a stara pani Zięba nie burczy na wszystkich, lecz uprzejmie się odkłania i śpiewa. – Z tych wszystkich powodów nie mogło być inaczej, a na dodatek zazwyczaj wierzyłem rodzicom. – Tak, coś z tym świętym miejscem musi być! – przekonywałem siebie. Było jednak małe „ale”, którego źródłem był ksiądz Deres.

– No bo, czy jest w porządku – główko-

wałem nieraz – żeby bądź co bądź gospodarz świętego miejsca zupełnie do niego nie pasował? Przecież Deres nie różnił się niczym od innych ludzi ze wsi, a powinien, i do tego: poruszał się zbyt szybko, śpiewał za głośno i pozwalał Małej na każdej mszy bez powodu rozsypywać, gdzie jej się tylko zamarzy, przyniesione w koszyczku kwiatki. Na dodatek czasami, po zakończonej uroczystości, na kościelnym dziedzińcu opowiadał dzieciom różne śmieszne historyjki, a nawet zachęcał do psikusów. Wprawdzie nigdy mu się wygłupianie z dziećmi nie udawało, ale to nie jego zasługa tylko Leszka, który w kółko pytał, co ksiądz mówi Bogu i dlaczego zawsze mówi to samo, i wciąż powtarzał, że on też tak chce. Nieraz chciałem mu powiedzieć, że jest głupi, bo dobry znajomy Boga ma prawo mówić językiem Boga, tylko nie byłem pewien, czy Deres na pewno jest jego dobrym znajomym.

Pamięć przesyppowała wspomnienia, zachowując pozory chronologii. Pojawił się jakiś dom z rosnącą na dachu młodą brzoźką i obiad jedzony w towarzystwie splątanych torów kolejowych. Przed oczami mignął obrazek ruin stacji w Toruniu, a później wiejska szkoła, wreszcie Gdańsk, w którym ojciec odnalazł Kostka, mamy stryja. Nigdy wcześniej nawet o nim nie słyszałem, a tymczasem to on, prosty szkolny dozorca, nadał kierunek memu życiu. Dzięki niemu i szkolnemu koledze – Karolowi dobrnąłem do matury.

Plaże. Należały do nas – młodych, pięknych niczym greccy bogowie. Jednego z letnich dni Leszek gdzieś się zapodział. Wrócił z oranżadą i szturchając mnie, lekkim ruchem głowy wskazał grajdołek pod skarparą.

– No co? – zapytałem.

Leszek, podając mi butelkę, pokręcił głową. – Ale ty jesteś ślepy!

Na materacu siedziała dziewczyna o śniadej cerze i czarnych, błyszczących w słońcu włosach. Obserwowała mnie. Gdy zacząłem się jej przyglądać, któryś z chłopców krzyknął: – Leszek, uważaj! Chyba brat chce ci zabrać dziewczynę.

Miała na imię Ewa. Było w niej coś tajemniczego, niezwykłego. Karnacja i włosy charakterystyczne dla ludów Azji nie pasowały do reszty. Twarz o łagodnych rysach, ufne spojrzenie pięknych oczu, miękkie, spowolnione ruchy podpowiadały, że jest stąd. Gdy podszedłem do niej, wstała i bez słowa powędrowała ze mną brzegiem morza. Przy rozstaniu zapytałem, czy jutro znów się zobaczymy.

– Tak – odpowiedziała cicho i wolno odeszła w stronę rodziców, z którymi przychodziła na plażę. Spotykaliśmy się co dzień, aż do jej wyjazdu. Przy pożegnaniu poinformowała, że wraca do Krakowa. I to był kolejny wyznacznik mego życia.

Rytmiczny stukot kół pociągu już po nie-

całej godzinie uspił większość pasażerów. Najdłużej wierciła się jedna z kobiet, lecz wraz z gęstniejącym mrokiem ona także uległa stalowej kołysance. W przedziale zapadła cisza i bezruch. Byłem przysłonięty połą płaszczka i udawałem śpiącego. Po pewnym czasie otworzyłem oczy i spojrzałem w okno. Za szybą migały pola, na których wciąż jeszcze można było odróżnić zagony zbóż od połaci buraków czy kukurydzy, ponieważ słońce, wpadając za horyzont, zostawiło czerwoną poświatę, a wraz z nią resztkę gasnącego światła. Owa połyskująca czerwień, przeslaniana pasmem ciemnych chmur, skupiła na sobie moją uwagę. Patrzyłem, a gdy nastąpiła noc, zorientowałem się, że nie obserwuję nieba, że wywedrowałem gdzieś równie daleko jak słońce, w nieznaną. Wsiadając do pociągu, wyruszyłem w podróż, na końcu której był nie tylko Kraków, uniwersytet i Ewa. Miałem pewność, że odbywam podróż w nowe życie. Wiedziałem, że właśnie teraz rozpoczynam wędrówkę własną drogą i że stałem się panem każdego słowa, czynu i kroku. Świadomość tego faktu nie wywołała we mnie lęku, wręcz przeciwnie, byłem zadowolony i podniecony.

Jeszcze w pociągu obiecałem sobie, że o pobycie w Krakowie powiem Ewie po zdanych egzaminach. Wierzyłem, że zdam i że zostanę przyjęty. Miałem przecież rekomendację partii i ZMP oraz informację, że starających się na psychologię powinno być niewiele. Obietnicy danej sobie nie dotrzymałem, już pierwszego dnia kupiłem kwiaty i zjawiłem się u niej.

Dom, do którego wszedłem, bardzo mi zaimponował. Hol, szeroki korytarz, schody na piętro, duży, przestronny pokój pełen zieleni tej wewnątrz i tej z sadu wiskającej się przez otwarte okna. Całości dopełniała cisza oraz ciepła, rodzinna atmosfera pełna wzajemnej uprzejmości i delikatnych uśmiechów. Chyba wtedy pomyślałem, że chcę być częścią tego domu.

Byłem przejęty pobycem w Krakowie i sympatycznymi wizytami u Ewy, może dlatego zdawane egzaminy nie wryły mi się w pamięć. Sądziłem, że wypadłem dobrze. Natomiast Ewa czekała na wynik z niecierpliwością i to ona znalazła mnie na liście. – Jesteś przyjęty! – krzyknęła. – Cudownie, moje gratulacje! No, a teraz możemy jechać do Ciechocinka.

Po egzaminach wracałem na Wybrzeże niechętnie. Ten powrót nieźle pamiętam, bo wtedy rozważyłem zerwanie z Ewą, a nadto był we mnie bunt, bo chciałem natychmiast zanurzyć się w nowym życiu i dlatego, wracając, czułem się jak idący na bal królewicz, któremu nakazano paradować w starych trzewikach. Fakt, że zostałem studentem, bardzo szybko przestał mnie emocjonować. Wyznaczony cel osiągnąłem, to wszystko. Nareszcie mogłem rozpocząć wakacje. Myślałem o nich i o Ewie i byłem na nią zły.

Do Gdańska wracały ze mną pieniądze, które mozolnie zbierałem przez cały rok. Nie było tego wiele. Nie wiedziałem, czy starczą na jakiś dłuższy wyjazd, więc wymyśliłem wycieczki, oczywiście we dwoje. W czasie egzaminów mieszkałem w akademiku, z którego, jak mnie jeszcze w Gdańsku poinformowali jacyś chłopcy, podobno wolno było korzystać przez cały miesiąc, wymarzyłem więc sobie, że mając zapewnioną bazę noclegową, mógłbym gdzieś z Ewą wyjechać – trochę tu, trochę tam, może w Jurę, może do Zakopanego. W dotychczasowym życiu nie miałem okazji zobaczyć gór, a okolice Krakowa przecież też są piękne – wybielone skały, kikuty zamków, jaskinie.

Wszystkie hołubione marzenia diabli wzięli, gdy usłyszałem, że ona jedzie z rodzicami podziwiać zabytkowe tężnie solankowe. Ewa, ta anielska Ewa, miała stalowy charakter. Nie wiem, jak to robiła, ale z wielu znanych mi osób była jedyną, której słowa nie podlegały odwołaniu. Miała cały wachlarz zachowań, gestów i spojrzeń. Była ciepła i miła, była dowcipna, lubiła się droczyć, lubiła plotkować, ale pojawiały się sytuacje, w których stawało się ważne wyłącznie jej zdanie i wtedy, mówiąc cichutko i miękko, bywała nadzwyczaj stanowcza. Tak właśnie stało się tym razem.

Nie ulega wątpliwości, rozżościła mnie. Nie lubię, gdy ktoś unicestwia me zamiary. I nie ważne było to, że o wycieczkach powinienem powiedzieć wcześniej, uzgodnić pomysł, rozżościła mnie świadomość, że nie mogę nawet podjąć rozmowy, bo jej „spotkamy się po wakacjach” zamykało sprawę.

W życiu niemal wszystko uzyskiwałem osobistym urokiem, magią uśmiechu i miłego słowa, a wtedy zrozumiałem, że moja dziewczyna będzie na to odporna. To był powód, dla którego rozważałem zerwanie. Potrzeba pogodzenia się z niewygodnym faktem jeszcze długo była przyczyną z trudem ukrywanego rozdrażnienia i złego samopoczucia.

Pamiętam, że ponownie poszedłem po coś do kuchni. Przy okazji zjadłem suchą kromkę i umyłem leżące na stole owoce. Wróciłem na fotel. Gryząc jabłka, uświadomiłem sobie, że nigdy nie zapytałem Leszka, dlaczego czekał na mnie na dworcu. Przecież to nie było konieczne. W domu też niepotrzebnie zrobili jakieś przyjęcie, obiad jak na święta, gratulacje, a od ojca dostałem zegarek, który wtedy nie miał dla mnie żadnej, poza praktyczną, wartości.

Nie wiem, dlaczego wyjąłem z szuflady stary, ze zniszczonym skórzanym paskiem zegarek. Patrząc na niego, powiedziałem tak naturalnie, jakby brat stał obok: – Czy wiesz, że wciąż go mam? – I dodałem: – Popatrz, poznajesz tę godzinę? Sądzę, że nie tylko ja, że nikt z nas o niej nie zapomni, ty także.

Z zamyslenia wyträcił mnie dźwięk nasłuchiwania zegara. Fotel, deszcz, coraz głębiej docierający fakt śmierci Leszka spowodowały

zaskakującą reakcją. Zaczęło się od naturalnych wspomnień, początkowo niewinnych refleksji, później doszło do surrealistycznych rozmów z nieżyjącym bratem, lecz z każdą godziną następowało przekształcanie rozmyślań w poszukiwanie siebie. Jak po operacji plastycznej, nieśmiało spoglądałem sobie w twarz, powoli odsłaniałem własną duszę i stawałem oko w oko z pytaniami, na które nie znałem odpowiedzi.

Leszek przyjechał do Krakowa nie w porę. Z racji kłopotów z sesją miałem nieprzespaną noc, a nadto byłem umówiony z Ewą, dla której jego obecność stała się jedynie powodem zmiany miejsca i godziny spotkania. – Przyjdźcie o trzeciej do Michalika, bo z pewnością będziecie chciały pokazać bratu tę kawiarę – powiedziała i natychmiast odłożyła słuchawkę, więc dyskusji nie było.

Ona przyszła wcześniej. Gdy stanęliśmy przy stoliku, rozmawiała z siedzącą za plecami koleżanką. Zwrócona w jej stronę, nie zauważyła nas, a gdy spojrzała, sprawiła wrażenie czymś zaskoczonej, ponieważ przez dobrą chwilę milczała i przenosiła wzrok z jednego na drugiego.

– O co chodzi, o nasze podobieństwo? – zapytałem lekko poirytowany jej spojrzeniami. – Nie jesteś pierwszą osobą, która to zauważyła.

Ewa, przyglądając się uważnie Leszkowi, przywitała go cichym głosem. Zazwyczaj pogodna i rozmowna, tym razem jakby przysłała. Zachowywała się inaczej. Zadała kilka banalnych pytań, a gdy dosiedli się do nas koledzy, wpadający tu często na pogaduszki przy kawie, zamilkła i zamyślona, wręcz nieobecna wpatrywała się w blat stolika. Niespodziewanie poprosiła o taksówkę. Powiedziała, że niezbyt dobrze się czuje i musi wrócić do domu. Pożegnała Leszka, życząc mu dużo szczęścia i pomyślności w realizacji zamierzeń. Odchodząc, wyglądała źle, lecz mimo to nie pozwoliła się odwieźć. – Masz gościa, zajmij się gościem – upomniała mnie.

Czas pozbawiony codziennego kontaktu bardzo nas od siebie oddalił. Wprawdzie nigdy nie byliśmy sobie zbyt bliscy, jednak tego dnia rozmowa rwała się w sposób szczególny. Uznałem, że należymy już do innych światów, więc nie mamy o czym rozmawiać. Milczenie, częste w trakcie tego pobytu, w ciszy pokoju raziło, ale rozgrzeszyłem siebie zmęczeniem, bo do akademika wróciliśmy późnym wieczorem. Już ogarniał mnie sen, gdy Leszek niespodziewanie zapytał:

– Stefan, czy Ewa to coś poważnego?

– Jest moją dziewczyną. A o co chodzi? – mruknąłem.

Więcej pytań nie zadawał, ale ja przy okazji chciałem ustalić, do kiedy zamierza zostać w Krakowie. – Do jutra – rzucił bez najmniejszego zastanowienia i to był koniec rozmowy. Z rana uznał, że nie trzeba go odprowadzać, bo drogę na dworzec zapamiętał. „Pójdę z

nią” niczego nie zmieniło. Przyjąłem jego pomysł z ulgą. Przed wyjściem coś Leszka zatrzymało. Zawrócił, podszedł do stołu i po krótkim namyśle położył na nim kopertę. – Nie wyrzucić, w niej są pieniądze – poinformował mnie. – Nie wyrzucić. A rodzicom podziękuj – poprosiłem. Leszek, będąc już w drzwiach, zatrzymał się po raz drugi. – Przykro mi, ale od nich nic dla ciebie przywożę – rzekł i szybkim krokiem ruszył w głąb korytarza.

Ślub braliśmy w październiku i już pierwsze zdjęcie przywołało wyjątkowy jak na jesień, rozświetlony słońcem dzień, wzruszenie towarzyszące mi od wczesnego ranka, a także przywróciło dalsze wspomnienia, których ani czas, ani późniejsze wydarzenia nie potrafiły wymazać z pamięci.

Uroczystość w każdym szczególe była realizacją pomysłu Ewy. To ona wymyśliła nasze stroje, kwiaty, zamówiła fotografa i przyjęcie weselne dla niewielu osób, ale w osławionym Wierzyńku. Przed kościołem czekało mnóstwo kolegów ustawionych w szpaler i grała jakaś przygodna orkiestra. Wewnątrz, w ławkach siedzieli znajomi, ale także obcy ludzie, ci, co przyszli ze zwykłej ciekawości, ponieważ rozeszła się pogłoska, że stanowimy niebrzydki parę.

Byłem wtedy szczęśliwy. Prowadziłem do ołtarza dziewczynę, której wszyscy mi zazdrościli, zostałem zięciem profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego i wprost po przyjęciu weselnym wprowadzałem się do wspaniałej willi, gdzie czekało na mnie z Ewą całe piętro. Jednego elementu towarzyszącego takim uroczystościom w naszym wypadku nie było – podróży poślubnej. Nie mieliśmy jej w planie. Taka była decyzja Ewy, a ja musiałem ją uszanować, ponieważ wszystko, co wiązało się ze ślubem, opłacali jej rodzice.

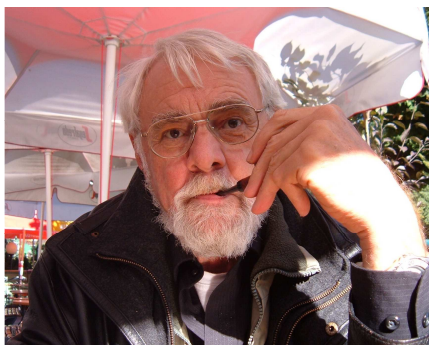
Album – zdjęcia. Pełno zdjęć dużych i małych, wyłącznie z nami w roli głównej. Byliśmy tacy młodzi, pełni szczęścia, roześmiani i kolorowi, bo zdjęcia mimo upływu czasu nieźle zachowały barwy. Ujęcie w drodze, poważne twarze przed ołtarzem, para krocząca po czerwonym dywanie oraz para witana przez przyjaciół. I znów zdjęcia – z profilu i en face, z kwiatami i bez kwiatów, Ewa przytulona do mnie i utopiona w koronkach, wstążkach, muślinach. Ewa – najpiękniejsza kobieta, jaką w swoim życiu spotkałem, ta, którą wskazał mi Leszek.

Każda lawina spowodowana drobnym kamieniem znajduje w dolinie swój kres, gdy tymczasem jedno ze zdjęć, znajdujących się w albumie, nieoczekiwanie wywołało szereg pytań, z których każde rodzi następne, a szansy na uzyskanie odpowiedzi nie ma.

Przerzuciłem kilka stron i znalazłem je. Wydawało się być nie na miejscu wśród pozostałych, roześmianych i kolorowych – weselnych.

cdn.

Zamyślenia



Portret znajomej dziewczyny jako tekst – kolaż w szarym kolorze

Część I

Zimny był ten ranek, a potem rozpadał się przykry deszcz. Młody lekarz zmierzyl ją również chłodnym spojrzeniem i poręcz fotela też była lodowata, nie mówiąc już o słowach przystojniaka w białym kitlu, które wrzynały się w jej mózg ostrymi, zimnymi szpilkami. Za oknem widziała chłopca z potłuczonymi do krwi kolanami. Malec płakał, ale ręka matki nieubłaganie prowadziła go po schodach za ucho, które w sposób widoczny robiło się coraz większe.

Strzępy słów, których nie chciała słuchać. Czy taki młody lekarz potrafi cokolwiek wyjaśnić, a tym bardziej zrozumieć? Odsunął jej rękę, w której trzymała zwitek banknotów. Cały czas mówił, a ona już od samego progu gabinetu była pewna, że trafiła do niewłaściwych drzwi i teraz żalowała tego nieprzemysłanego kroku. Ostatecznie z taką kupką forsy mogła zafundować sobie najlepszego lekarza w dużym mieście.

Między dziurawą rynną, a okapem dachu miotła się gołębicą, jakby jej gniazdo było zajęte przez konkurentkę. Za drzwiami płacz chłopca wzmagął się. Głos lekarza był teraz ciepły, może nawet miły, więc postanowiła posłuchać przez chwilę tego, co miał jej do powiedzenia: „Takie spotkanie kosztuje, ale jest wyjście... Czy pani, czy powiedziałaś o tym swojemu chłopcu?”. Co go to obchodziło, do cholery?! Schowa teraz do torebki dolary, wstanie i powie mu: amen. Osłodzi sobie tymi słówkami kilka jesiennych wieczorów... „Proszę mnie zrozumieć, nie dorobiłem się jeszcze własnego gabinetu, ale gdyby nawet, to nigdy nie będzie w nim miejsca dla tego rodzaju nierozsądnych kobiet decydujących się... Zresztą jest pani bardzo młoda i jak już mówiłem, może to być groźne w skutkach...”

Czuła się zawstydzona i upokorzona. Poprawiała włosy, które zdążyły wyschnąć. Malec cały czas płakał z bólu albo ze strachu, ktoś nieśmiało zapukał do drzwi. Gdyby tak zobaczył ją tutaj ktoś znajomy, albo ojciec... Żądał zawsze dwóch rzeczy: prawdomówności oraz posłu-

szęństwa. Oto jego ukochana córeczka tkwi w tym fotelu o zimnych, metalowych poręczach, rozgrzeszana przez młodego kaznodzieję ze słuchawkami na szyi, od których odbijał się blask jej pokuty. Nie, nie była cyniczna, jak jej to zarzucił. Wpadła i jest sama sobie winna, ale nie musi przecież wysłuchiwać tego typu kazań. Może jeszcze każe jej wyjść stąd z palmową gałązką w dłoni. Wszystkim dobrze mówić i radzić, gdyż to nie oni zostaną napiętnowani i nie oni naleykają się upokorzenia w małym, sennym i znieawidzonym przez nią miasteczku. Gorzka jest pigułka niezrozumienia i potępienia i wciąż jeszcze istnieją takie znieawidzone dziury, oddalone od cywilizacyjnego świata, że nie można ich nawet nazwać prowincją, zapomniałą przez Boga i przez diabła. Nie, Bóg ma tam swoich wybranych ludzi jak choćby ten młody lekarz, który w żadnym wypadku „nie będzie plamił sobie rąk... morderem”. A ona pomyślała sobie, że to właśnie on i ten wiejski ośrodek będzie dla niej miejscem wybawienia, co za idiotka! Prawdomówność i posłuszeństwo. Tak, była dotąd dla własnego ojca niczym biały śnieg, czysta i bez skazy. Jakże śmieszni bywają ojcowie. Czy był kiedy podobny do tego świeżo upieczonego lekarza, utkanego z monotonii słodkich, pocieszających słówek i rad? Dlaczego jeszcze go słucha, dlaczego zwleka z opuszczeniem gabinetu? Miękkie skrzydła jego słów uderzały lekko i delikatnie o skowyt, który wydierał się z jej wnętrza. Usta miała pełne popiołu. Wstała i bez słowa opuściła zimną, sterylną biel gabinetu.

Deszcz kapał z rękawa byle jak zwieszzonego płaszcza, a chodnik w przedpokoju był mokry ze śladami błota, które prowadziły wprost do buciorów Gustawa. Na wieszaku obok lustra wisiał jeszcze inny płaszcz, długi, damski trenz z wielkim dragonem. Ostatni krzyk mody. Jeszcze jedna pacjentka ich ojczulka. Ciekawe, która to już dzisiaj, druga, trzecia? „Zawód ginekologa to duża skrzynia złota”, przypomniła sobie słowa koleżanki z klasy. Skrzynia złota... Tak, zawód lekarza jest w sam raz na te czasy. Ludzie swobodnej pracy, wolni w wyborze pomiędzy życiem a śmiercią, świętym spokojem i hańbą. Owszem, ich dom prowadzony był na „wysokiej stopie” i dzieci powinny to uszanować. Słowa niani. Słowa, słowa! Musi teraz się uspokoić, pozbiierać myśli, przybrać idealnie obojętną minę, jakby wracała z udanej randki. Będzie czekać na telefon od Roberta. Nie, ona w żadnym wypadku nie podniesie pierwsza słuchawki telefonu. Czy oni wszyscy tak się zachowują, kiedy uświadamia im się fakt, iż zostali... ojcami? Można ich za to znieawidzić.

Stała cicho w drzwiach i miała nagle ochotę parsknąć śmiechem. Jej młodszy braciszek pochylał się przy drzwiach z nosem u dziurki od klucza. Za drzwiami gabinetu panowała idealna cisza. Nagle z kuchni dobiegł brzęk szklanek i ten dźwięk spłoszył braciszka. Wyprostował się i ich wzrok się spotkał. Nawet się nie zmieszał. Patrzał na nią cielecym wzrokiem, a potem wykonał taki gest,

jakby chciał powiedzieć: ojciec znów ma kogoś na wyciągu... Tak to zawsze określał: na wyciągu. Cuchnąca twórczość na wyciągu, idiota! Wzdrygnęła się mimo woli.

– Już wróciłaś? – usiadł w fotelu w nie-dbałej pozie, a potem nagle dodał: – Kto ma sumienie, będzie przeciwko takim praktykom protestował, ale ciebie to nie obchodzi.

Miał rację. Ostatecznie żyją z tego na takim poziomie. Była wrażliwa na tego rodzaju poglądy brata. Zresztą zostało już przesądzone; w następnym tygodniu pojedzie do dużego miasta, gdzie nikt nie słyszał o jej sławnym ojcu. Zdecydowała się na tego nowego, młodego lekarza, gdyż tak jej poradzono.

„Młodzi są łasi na pieniądze. Są przesiąknięci na wskroś konsumpcyjnym sposobem życia, dorabiają się w bardzo trudnych czasach...”

Brat patrzył na nią z ukosa. Nie, nic jeszcze nie było poznać. To nonsens. Może jedynie ten cierpki smak wina, który wylał z człowieka... Trudno się uwolnić od tego uczucia nawet po nabraniu pewności z mądrych ksiąg lekarskich ojca. Musi przetrwać ten kiepski okres w jej życiu. Wszystko się na to złożyło: przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Nie, nie bała się samego zabiegu, w każdym razie nie tak, jak bała się pierwszego kontaktu z chłopakiem. To było na biwaku, przy wygasającym ognisku...

– Chciałbym wiedzieć, gdzie teraz krążą twoje myśli, moja droga?

To ojciec. Czy ojcowie, którzy są lekarzami, rozpoznają zamiary oraz stany ducha swoich dzieci po kolorze tęczy oka? Nie? W takim razie dlaczego tak głęboko zaglądamy nam w oczy?

– Wyglądasz jak zmoknięta kura...

Wyszedł z gabinetu bez fartucha, w rozluźnionym krawacie i podkasanych wysoko rękawach koszuli. Sprawiał wrażenie, jakby wstał od brydżowego stolika, a nie od skrobanki. Zaraz każe pani Zofii podać do gabinetu soki dla zachowania dobrego samopoczucia niedoszłej mamusi... Czy ona też dostanie szklanek grejprutowego soku, kiedy będzie już po wszystkim? Mała Klara z trzeciej klasy licealnej, kiedy już było po wszystkim poszła na kielbaski z rusztu i na czekoladowy koktajl. Boże, jakie to wszystko głupie!

– Mam nadzieję, synu, że nie będziesz włączał dzisiaj tej swojej piekielnej muzyki?

– Jak sobie życzysz, ojciec.

Gustaw na siedemnaście lat, ale nie ma takiego ciosu, który mógłby wstrząsnąć jego stoickim, wyzywającym wprost spokojem. Cały ojciec. Oh, gdyby żyła matka! Ten dom byłby zupełnie innym domem.

Kolację jedli jak zwykle w milczeniu. Pani Zofia wróciła z gabinetu z pustą tacą, w której na moment odbiła się jej przerażona twarz.

cdn.

Kazimierz Iwosse

Poszukując Hippokrene

Droga literacka **Teresy Nietykszy** przebiega pod znakiem przekształcania ulotności otaczającego świata w subtelność poetyckiego słowa. Zmierzając ku Hippokrene poetka pochyla się nad pięknem natury, poddaje wspomnieniom, wsłuchuje się w siebie i drugiego człowieka zarówno we śnie jak i na jawie. Najważniejsza jest droga, którą zmierza. Wszystko wskazuje jednak na to, że trasa jej wędrówki wiedzie przez krainy wyjątkowo bogate w inspiracje. Świadczy o tym lista dotychczas wydanych książek oraz jej najnowszy tomik wierszy **„Mimo ulotności”**.

Podróż jest wpisana w życie człowieka. Podróżujemy wraz z Ziemią wokół Słońca, pokonujemy odległości związane z codziennym życiem, dążymy do realizacji konkretnych celów lub odkrycia nowych światów. Podróż bywa również wyprawą w głąb siebie. Chwile penetracji własnego ja zdarzają się każdemu, nie wszyscy jednak czują potrzebę dzielenia się tym, co tam odkryli. Silny impuls, często zwany natchnieniem wykorzystują bowiem jedynie wybrańcy natury obdarzeni talentem i koniecznością tworzenia. Prześledźmy meandry poszukiwań Teresy Nietykszy od tak wielu lat z gracją poruszającej się na ulotnej ścieżce liryki.

Początkowo autorka wiedzie nas w czarowny czas dzieciństwa spędzonego w wiosce nad Bugiem. Dla dziecka wszystko jest tajemnicą, poznaje bowiem świat stopniowo. Chłonie uczucia, uczy się odróżniać kolory, zapachy, dźwięki, smaki, poznaje członków rodziny, przyswajają obrazy najbliższego otoczenia. Z czasem krąży się poszerza, coraz śmielej oddala się od domu: biega po łące, zbiera kwiaty, przygląda owadom, wpatruje się w wodę rzeki, bawi z rodzeństwem i rówieśnikami, poznaje sąsiadów i coraz dalsze rejony miejscowości, w której mieszka. Wszystko to zapada głęboko w pamięć, by po latach powrócić we wspomnieniu, w którym „liście podbiału/ jak aksamitne gąski/ w zielonej trawie się pasą/ czasem wybiegnie któraś/ na biały piasek plaży/ obok/ w wodach bindugi/ grzybieniu o oczach dziecka// nad nimi stare drzewa/ jak czułe niańki stoją” („Brzeg rzeki”). Ile razy to dziecko dotykało liści podbiału, zanurzało bosa stopy w ciepły, biały piasek, podziwiała kwitnące grzybieniu? I chociaż pilnowały go jedynie stare, nadbrzeżne drzewa, czuło się bezpieczne i szczęśliwe. Dzięki temu do dzisiaj na łąkach serca dojrzałej już autorki „pachnie macierzą/ a pastele dzwonków/ są jak bańki cerkiewnych wież”.

Łatwo zauważyć, że użycie zdrobnienia „gąski” oraz porównanie cerkiewnych wież

do baniek podkreśla, że są to wspomnienia z odległego dzieciństwa spędzonego na terenach, gdzie widok sąsiadujących ze sobą cerkiew i kościołów nikogo nie dziwił, a pasące się gęsi były codziennością. Dzieci biegały swobodnie pośród łąk przypominających „Malachitowe morze przed burzą” („Słoneczne strony”) przepełnione zachwytem i poczuciem bezpieczeństwa.

Niestety, wojna ten beztronski, bezpieczny świat bezpowrotnie zniszczyła. Przyszedł dzień, gdy rzekę pokryły martwe ławice ryb, a „Przerażone bociany/ choć nie była pora/ szykowały się do odlotu” („Pamięć rzeki”). Ludzie także musieli opuścić domy swoich przodków i założyć gniazda nad innymi, nierzadko bardzo odległymi brzegami. Wspomnienia jednak uparcie powracają. Najwidoczniej to, co zapisało się w sercu dziecka pozostawia ślad, którego nic nie wymaże. Czyżby później niczego nie przeżywało się już tak mocno i nic nie mogło zastąpić ciepła tego pierwszego domu? A może tak działa świadomość bezpowrotnej utraty?

Wrażenia z innych szlaków dotyczą dojrzałej, zahartowanej osoby, która potrafi wiele znieść. Wędrówka trwa nadal, dobrze jednak powracać w znane strony, porównać stan faktyczny z obrazem zachowanym w pamięci. Np. Kalisz to miasto, w którym pomimo „nowych galerii przy dawnym rynku” wciąż „wspomnieniami szumi park/ starych uliczek zmierzch rozbrzmiewa”, w Kazimierzu zaś jak zwykle księżyc przegląda się w Wiśle, w Druskiennikach „wyrósł drzewa/ i nie ma już tak rozległego widoku/ na dwa zakola Niemna”, w Miami Beach nadal padają ciepłe deszcze i ktoś tęskni do ojczystego kraju, gdyż jego bosa stopy w tej właśnie chwili „cieszą się/ jak w czasach dzieciństwa/ gdy robiły masło z piasku/ po burzy”.

Z wiekiem przybywa wspomnień, przeżyć, odbytych podróży i spotkanych ludzi. Z wieloma z nich, niestety, trzeba się było bezpowrotnie rozstać. Czasem można ich jednak ujrzeć we śnie. Sny, według Freuda, przedstawiają bowiem w sposób symboliczny to, co kochamy i za czym tęsknimy lub czego się boimy, pomagają więc wyładować emocje, pozbyć się kompleksów i urazów tkwiących w podświadomości. A jak rozumiano je wcześniej? Grecy traktowali je jako znaki od bogów – Hypnosa i jego syna Morfeusza. Ponieważ Hypnos był bliźniaczym bratem Tanatosa, bożką śmierci, nic dziwnego, że pokrewieństwo to fascynowało i wpływało na sposób myślenia kolejnych pokoleń. Tym bardziej, że Biblia mówiąc o wiecznym śnie zmarłych podtrzymywała to wyobrażenie.

Motywny snu pojawiał się u wielu twórców. Bywały sny odsłaniające tajemnice przeszłości, prorocze, ostrzegawcze, pozwalające zajrzeć w zaświaty, złowróżbne jak i relaksujące, będące niejako spełnieniem nieświadomych pragnień. Jorge Luis Borges

w „Kolistych ruinach” posunął się jeszcze dalej doprowadzając bohatera do stanu, w którym „Z ulgą, z upokorzeniem, z przerażeniem rozumiał, że również on jest widmem, które śni ktoś inny”.

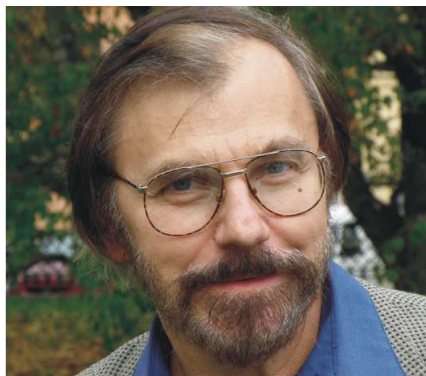
Nic dziwnego, że po motywny snu sięga również autorka tomiku „Mimo ulotności”. Sny prowadzą ją do „drzwi których już nie ma”, pozwalają spotkać z ukochanym, spojrzeć mu w oczy, poczuć jego objęcia, odzyskać lekkość kroku i beztronskę nastolatki, odwiedzić Hemingwaya w Key West albo stać się kobietą z obrazu Moneta. W utworze „Kaźdej nocy zabieram cię w sen” Teresa pisze o odchodzeniu „w bezbronną krainę brata śmierci”, co jest nawiązaniem do wierceń Greków, w większości pozostałych wierszy dochodzą jednak do głosu zakodowane w podświadomości, szukające ujścia emocje, z czego z kolei ucieszyłby się Freud. Z wielu tych snów przemawia tęsknota za utraconym szczęściem. Szczególnie wzrusza „Sonet ze snu”, w którym poetka pyta: „Z czyjej to woli obraz twój w śnie ciemnej nocy?” i zachwycona wyznaje: „Przytulasz mnie do siebie twym jedynym gestem/ Znów bez granic szczęśliwa i po prostu – jestem/ Więc idziemy, jak dawniej, patrząc sobie w oczy”.

Pisanie o śmierci najbliższych jest trudne, autorka znajduje jednak właściwy ton. Jest w nim spokój świadomości, że to nieuniknione, lecz także bezbrzeżna miłość, tęsknota i ból. Zwraca się do zmarłych, jakby ją mogli usłyszeć. Ojcu wyrzuca: „nie prosisz o rozmowę/ Milczeniem jesteś/ choć czekam w snach” („Milczenie”). Matce skarży się, że „Sikorki nie przysły tej zimy/ (choć kupiłam im słoninkę)/ Myślę że są taktowne/ Tylko kosi i szpaki mają odpowiedni strój” („List”). Skoro nawet ptaki noszą żałobę, co odczuwa córka, która była przy matce do końca? Ten prosty zabieg przypomina mi wstrząsający wiersz Wisławy Szymborskiej o osieroconym kocie w opustoszałym mieszkaniu. Podobny do noblistki dystans, oczywiście smakowicie przyprawiony ironią, odnajdujemy również w twierdzeniu Teresy, że śmierć jest dobra.

Śmierć jest dla człowieka czymś strasznym, ostatecznym, więc za wszelką cenę stara się jej uniknąć. Okazuje się jednak, że można na nią spojrzeć z całkiem innej strony. Otóż poetka stwierdza, że śmierć „jest dobra/ łagodzi winy”, „Wygląda zmarszczki”, „Zrównać potrafi dziada i dygnitarza”, „Jest troskliwa”, a „do żyjących biegnie/ póki w oczach światło”, bo „jej pasją jest światło”, „więc w oczy zagląda” („Śmierć”). Przemawia tu dojrzałość poetycka, życiowe doświadczenie autorki oraz jej doskonałe wyczuwanie emocji. Umiar, dystans, panowanie nad emocjami oraz wspaniałe warsztat są charakterystyczną cechą dobrej poezji, a z taką tu właśnie mamy do czynienia.

(Dokończenie na stronie 22)

Listy do Pani A. (78)



Jeszcze żyjemy

Kochana Pani!

Styczeń wnosi trochę optymizmu, zaczyna szybko przybywać dnia, choć jeszcze zima, to jednak coraz bliżej wiosny. Za trzy miesiące powitamy czas letni, a na początku kwietnia już Wielkanoc. Pocięsam się tym po smutnym grudniu, który powinien być radosny i gwiazdkowy.

Po smutnym grudniu, a właściwie listopadzie... Zadzwoił do mnie Jan Stanisław Kiczor z hiobową wieścią. Oto zmarł Zbyszek Irzyk. A tak niedawno (pisałem o tym w poprzednim liście) w Klubie Księgarza byłem na świetnym spotkaniu ze Zbyszkiem i jego książką.

To wprost nie do wiary. On przecież był i powinien być zawsze! Czy w miewała Pani takie wrażenie, że ktoś, kto w naszym życiu jest ważny, nigdy nie odejdzie? Jest jakby potwierdzeniem i naszej nieśmiertelności, stabilności, wiecznego trwania? Często małe dzieci mają to poczucie w odniesieniu do rodziców. W miarę dojrzwania, starzenia się chcemy to poczucie ocalić, chociaż racjonalna rzeczywistość jest przecież inna. Zbyszek był dla mnie taką „przeciwwagą” przemijania. Był, jest, będzie... Jakby swoistym gwarantem nieśmiertelnego trwania... I nagle go nie ma. Zostaje dojmujące poczucie pustki, kiedy się o tym myśli. Ale umysł wypiera to poczucie. Wydaje się, że jest. Nie dopuszcza się do świadomości myśli, że odszedł nieodwracalnie.

Pojechaliśmy z Tchorzewskimi na pogrzeb do Jablonny. Była msza, na katafalku skromna urna... I zdjęcie. To z okładki „Bywało zabawnie”. Ksiądz nawet nie gadał głupstw, ani nie zachowywał się po chamsku, jak często potrafią inni przy okazji pogrzebów. Bardzo dobre wspomnienie wygłosił nasz wspólny znajomy i przyjaciel Irzyka – Waldemar Śmaszcz, znany krytyk literacki i publicysta.

Zabawne też jest to, że po śmierci ma się cały tłum przyjaźni. Nawet Ci, którzy wobec nas wykazywali postawy będące odwrotnością przyjaźni. Bo przy okazji można poprawić swój wizerunek i podbudować własne ego. Po śmierci Zbyszka również objawiło się trochę wilków w skórze przyjaźni najszerszej.

Zbyszek miał wybitne poczucie humoru i absurdu. Świetnie się rozumieliśmy, mnożyliśmy kalambury, wymyślali różne sytuacje. Bawiliśmy się słowem, pojęciami, skojarzeniami. Zbyszek bardzo to lubił i – co najważniejsze – rozumiał. Pamiętam, jak ku jego rozbawieniu śpiewałem: „Spoza gór i rzyk”. A Zbyszek dodawał: „wyszliśmy, i rzyk”. To były niezapomniane czasy,

niezapomniana i niespotykana przyjaźń. Zresztą Zbyszek był moim dalekim kuzynem, ale tę historię chyba już Pani opowiadałem. Przypomnę tylko, że jego lwowska rodzina była spokrewniona z Łysakowskimi oraz Pomian-Malawskimi, a ci z kolei z Telakowskimi. Moja ciotka Poraj-Gruszczyńska, z domu Telakowska, była żoną mojego wuja Wojciecha. I na tym polegały nasze związki rodzinne. Bardzo, bardzo smutno.

Ale, jak powiadam, coraz dłuższe dni wnoszą więcej optymizmu. Już inaczej patrzy się wstecz, a z większą nadzieją w przyszłość. I na poezję. Dostałem od Marka Wawrzkiwicza nowy tom wierszy „Nawet Ty” z następującą dedykacją: „Drogi Stefanie, spojrzij tolerancyjnie na westchnienia liryczne starszego pana. Marek”. Pomyślałem sobie: „jakiego znów starszego pana?” Tak, Marek dla mnie nie jest żadnym starszym panem, choć przecież czas dotyka nas wszystkich. Należy w moim świecie do tych osób, które „były, są i będą”. Jest młodzieńczy, zwłaszcza poetycko. „Nawet Ty” to zbiór świetnych, mądrych, dowcipnych liryków podszytych nierzadko ironią, pełnych poetyckich, oryginalnych „zauważań”. To wiersze o miłości, o bliskości, a także o przemijaniu. Czytelne, osadzone w konkretności, obrazowe. Jest w nich trochę poczucia samotności, szczypta goryczy, ale też dużo optymizmu i własnie literackiego humoru.

O sytuacji poezji dobrze świadczą nowe tomy Jerzego Jankowskiego i Jerzego Paruszewskiego. Otrzymałem je od autorów będąc w Żyrardowie. Także tom wierszy Piotra Dumina. Dużo jest świetnych tomów, ale trudno to wszystko prześledzić, bo nie ma normalnego obiegu książki, zwłaszcza poetyckiej. Ciekawe jak długo jeszcze potrwa ta chora sytuacja.

Pojechaliśmy z Markiem Wawrzkiwiczem, Aldoną Borowicz i Andrzejem Tchorzewskim do Kielc na uroczystość XXX-lecia tamtejszego Oddziału ZLP. Miałem zadanie dosyć trudne, do którego długo się przygotowywałem. Staszek Nyczaj prosił, abym omówił po jednej książce każdego z literatów kieleckich. Zebrało się tego około pięćdziesięciu pozycji, zarówno poetyckich jak i prozatorskich. Omówienia musiały być siłą rzeczy skrótowe. Nie było też moją intencją wygłaszanie laudacji, więc niektóre oceny miały charakter bardzo krytyczny, chwilami dosyć złośliwy, ponieważ obok utworów bardzo dobrych zdarzały się wręcz slabiutki, by nie powiedzieć grafomańskie. A wiadomo, że autorzy są bardzo drażliwi, i obrażają się, jeśli się stwierdzi, że nie są genialni.

Całe moje wystąpienie trwało, z przerwą, przeszło półtorej godziny. Zastrzegłem, że będę mówił długo, ale to nie moja wina, ponieważ tak obszerny materiał mam do omówienia. I wszyscy jakoś wytrzymali do końca, a nikt nie protestował. Wiem tylko, że jeden z autorów nie został do następnego dnia, i wyjechał obrażony. Ale też potraktowałem go tylko według jego zasług...

W pewnym momencie podszedł do mnie pewien pan i nieśmiało poprosił, abym mu przysłał cząstkę mojego wystąpienia, którą poświęcęł jemu. Okazało się, że to Jan Chruśliński, bardzo dobry pisarz i ciekawy człowiek, niezwykle uczynny i mający dużo istotnych rzeczy do opowiedzenia. W drugim dniu mieszkaliśmy razem w apartamencie bursy kieleckiej. Był z nami jeszcze Janusz Termer, ale następnego dnia pojechał. Proszę sobie wyobrazić, że kiedy już się dobrze ze sobą oswoiliśmy (ale bez „oswajacza”, o którym zapewne Pani w tym momencie pomyślała) powiedział mi, że kiedy wszedłem do sali, to

pomyślał sobie, że nie da rady nawiązać ze mną kontaktu – z takim groźnie wyglądającym facetem. Ale kiedy zobaczył, że rozmawiam z innymi a nawet się śmieję, to pomyślał, że nie jest tak źle, i zdecydował się podejść i poprosić o ten fragment tekstu. Czy Pani też uważa, że budzę lęk? Wiem, że niektórzy się mnie boją, nie wiem dlaczego, ale niech już lepiej tak zostanie.

Pierwszego dnia mieszkaliśmy w Bibliotece Wojewódzkiej, gdzie odbywały się główne uroczystości, a po nich na następne dwie noce musieliśmy się przenieść do tej jakiejś bursy. Pan Jan zaproponował mi, że mnie tam podwiezie razem z bagażem. Nie musiałem więc brać ze sobą samochodu i tulać się po ciemku w nieznanym dobrze mieście. Bardzo tego nie lubię, przecież prowadzę w okularach, co dodatkowo zakłóca widoczność. A kiedy wyjeżdżaliśmy, znowu mnie podwiózł na parking biblioteczny, bym nie musiał bujać się autobusami z dosyć ciężką walizką. To była dla mnie duża sprawa, wielka pomoc. A towarzystwo Jana Chruślińskiego przy stole przez te dni świetne, rozmawialiśmy ciekawie o historii, regionie świętokrzyskim, oglądałem zdjęcia zamieszczone w jego dokumentalnych książkach.

Następnego dnia, też z panem Janem, pojechaliśmy do Strawczyna, by ogłosić wyniki Konkursu Literackiego im. Stefana Żeromskiego. Pogoda była piękna, słoneczna. Trochę pobjądziliśmy, ale dotarliśmy na czas. Były przemówienia, Staszek Nyczaj prowadził całą imprezę. Potem wracaliśmy do Kielc. Świeciło piękne, popołudniowe słońce, miałem nawet ochotę wracać do Warszawy, ale doszedłem do wniosku, że jeśli nawet następnego dnia byłaby gorsza pogoda, to jednak w dzień jechać wygodniej. I wygrałem – bo po zamgleniach porannych wróciło słońce i czyste niebo.

Niebo bywa zawsze bardziej czyste niż nasza rzeczywistość. Oto nad Skarpą Warszawską – perłą Stolicy – zbierają się chmury, bo towarzysze duchowni chcą tam wybudować bibliotekę seminarijną. Wprawdzie odważni ludzie protestują, ale wiadomo, że jak się czarna łapa wyciągnie po cokolwiek, to otrzyma, a nikt nie odważy się tę łapę odrąbać. Teraz obłudnie mówią, że to tylko plany, ale znamy tych hipokrytów, którzy potrafią nawet potajemnie coś wybudować na nieswoim, nawet bez zgody i pomimo zupełnie innych projektów. Strzeż się Warszawy, bo zostaną tutaj „bram cztery ułomki, klasztorów dziewięć i gdzieniegdzie domki”. O, gdyby teraz znalazł się taki biskup, utalentowany, pełen poczucia humoru, zamiast zgrai nadętych bałwanów!

Zobaczmy, co też przyniesie nam nadchodzący rok. Może atmosfera się oczyści. Następuje powoli zmiana pokoleń, chwieją się zmurzałe konstrukcje pojęciowe i polityczne. W końcu idziemy do przodu, choćbyśmy nawet ten pochód zamykali. Nie należy więc narzekać, bo malkontentów mamy wokół multum. Nawet wśród opozycyjnych działaczy, którym się w przeszłości nic nie podobało, i nie podoba się teraz to, o co tak zajadle walczyli.

Mam nadzieję, że Pani pomimo wszystko jasno patrzy w przyszłość. Teraz przybywa dnia, wiosna zbliża się wielkimi krokami i chce już zwyciężyć zimą, a my – jak śpiewamy co roku na Międzynarodowej Jesieni Galicyjskiej w pieśni do słów Andrzeja Grabowskiego – „jeszcze żyjemy”. Pozdrawiam Panią słonecznie i z całoroczną nadzieją!

Stefan Jurkowski

Rozmyślania



Tragedia Europy?

Czy Europa staje się martwa? – pyta coraz więcej analityków. Niektórzy zadają pytanie: która Europa? Centralistyczna, regulująca wszystko Unia socjalna, która dąży do stania się federacją? Czy też klasyczno-liberalna, deregulująca Unia wolnego handlu, która w „strategii lizbońskiej” piętnaście lat temu za swój cel uznała osiągnięcie pozycji najbardziej konkurencyjnej gospodarki świata? Martwe, przynajmniej na razie, są obie Unie.

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

„Nie” dwóch członków założycieli, Francji i Holandii, dotyczyło Unii Europejskiej, która zaczęła budzić grozę ludzi. Unii, która odessała zbyt dużo suwerenności, zostawiła zbyt małą swobodę ruchów państwom członkowskim – a to wszystko w sposób, który nie ma nic wspólnego ze zwykłą demokratyczną procedurą. Była to rewolta tego, co narodowe, przeciw temu, co postdemokratyczne – przeciwko lewiatanowi, który nie zjawia się w brzęczącej kolczudze despotyzmu, ale jako troskliwy strażnik pokoju i dobrobytu.

Następny cios skierowany był nie przeciw rabusiom suwerenności, lecz przeciw maszynie modernizacyjnej UE, przeciw tempu zmian, jak przyznał holenderski premier po 62-procentowym „nie” swojego narodu. Ten cios zaskodził przyszłości Europy jeszcze bardziej, niż wykołnienie się jej federalnych ambicji. To, że Bruksela nie tylko uzurpatorsko reguluje wielkość jabłek i truskawek, regularnie umykało uwadze 450 milionów obywateli z paszportem o barwie czerwonego wina. Po prostu przyjmowali oni to odgórnie i raczej nie pojmowali, jaki dobroczynny impuls modernizacyjny wychodzi od 50 lat od tej „dyktatury biurokratów”.

Unia Europejska, urodzona jako Europejska Wspólnota Gospodarcza, od 1957 roku znosiła systematycznie granice, za którymi państwa narodowe całkiem wygodnie się urządziły – z kartelami i obroną przed konkurencją, z bałaganiarską polityką finansową (Włochy), która była źródłem inflacji i długów, z przedsiębiorstwami państwowymi (Francja), które były równie efektywne jak fabryki w dawnej NRD. Kto przed wprowadzeniem euro w Atenach wymienił markę na drachmy, a potem podróżował przez kolejne kraje coraz dalej na Zachód, w Lizbonie miał w garści już tylko równowartość 49 fenigów. Teraz jedno euro to zawsze jedno euro. Chętnie *pito antinori*, kupowano wolnego od *ca citroena* – zapominając, że krył się za tym wszystkim wspólny rynek, na którym swobodny przepływ kapitału i towarów stał się możliwy po raz pierwszy od upadku imperium rzymskiego.

Ten zbawienny impuls modernizacyjny został jednak zahamowany już przed referendum, i to – co jeszcze dodaje sprawie pikanterii – przez „motor” Unii, Niemcy i Francję. Pod egidą tandemu Chirac-Schröder oba państwa utworzyły kiedyś swego rodzaju „święte przymierze” przeciw zmianom, by pod hasłem dumpingu płacowego, socjalnego i podatkowego zastopować dalszą liberalizację. W następstwie referendum obaj politycy znaleźli chętnego sprzymierzeńca, ówczesnego przewodniczącego Unii i premiera Luksemburga, który domagał się, by wszystkie dyrektywy sprawdzić pod kątem ich „następstw socjalnych”. Inaczej mówiąc, niech Europa znowu wzniesie mury i zafunduje sobie długą przerwę na drodze modernizacji.

Europejska tragedia wcale się jednak na tym nie kończy. Stara Europa stała się krajem nabieraczy, dla których to „dziki kapitalizm” jest odpowiedzialny za katastrofę, i nabieranych, którzy roją sobie, że wystarczy trzymać z dala od „naszych” rynków kilku polskich hydraulików i rzeźników, żeby zapewnić sobie dobrą przyszłość. A co zrobimy wtedy z Hindusami, którzy za ułamek pensji niemieckich radiologów analizują wyniki tomografii komputerowej i rezonansu magnetycznego? Albo z księgowymi, którzy w Bombaju za sześć dolarów za godzinę sprawdzają kolumny liczb? Zablokować internet? A co z Arabami?

Być może jednak ten wymuszony powrót do kategorii narodowych kryje też jakąś szansę. W końcu teraz poszczególne rządy muszą wkroczyć na stromą drogę reform, by Europa nie stała się miejscem przytulnego zastoju, tematycznym parkiem historii. Jako kontynent nabieraczy i nabieranych Europa nie przetrwa. Nie w zderzeniu z Azją i Ameryką.

Myślę, że integracja europejska zbliża się do momentu, w którym nastąpi przerwa na nieokreślony czas. A na razie zagrożeniem jest przyspieszona renacjonalizacja polityk wspólnotowych i wcale nie zewnętrznych zagrożeń jakim staje się terroryzm. Źródłem obecnej blokady jest nic innego jak tylko nacjonalizm. Zespół odruchów i tożsamości związanych z nacjonalizmem nie zatarł się jeszcze całkowicie w europejskim społeczeństwie.

W krajach, które doświadczają ostrego kryzysu społecznego, gdzie bezrobocie osiągnęło wysoki poziom – szowinistyczne namiętności wciąż mocno oddziałują na wszystkich ludzi wykluczonych z systemu. Oraz na innych, którzy to cynicznie wykorzystują.

Francuskie i holenderskie „nie” dla konstytucji europejskiej pograżyło Europę w kryzysie tożsamości, podsyconym przez głęboki niepokój w obliczu marazmu gospodarczego, który ogarnął oba te kraje, podobnie jak całą Unię. Według neokonserwatystów jedynym lekarstwem na te gospodarcze niedomagania jest zburzenie systemu świadczeń i zdobyczy socjalnych, które od dziesięcioleci definiują europejskie wyobrażenie o jakości życia, oraz zapewnienie triumfu rynku oraz wolnej konkurencji. Dzięki temu rzekomo powróci wzrost, a ludność będzie się bogacić. Socjaliści twierdzą na odwrót, że liberalny model anglo-amerykański, który premiuje zwycięzców, zapewni korzyści jedynie bogatym, a zuboży pracowników, rodząc ostatecznie bardziej brutalny i niepewny porządek społeczny.

Stawką aktualnego sporu konstytucyjnego w Europie jest w mniejszym stopniu sam traktat, a bardziej przyszłość kapitalizmu – i to nie tylko w Europie, ale na całym świecie. Coraz więcej Europejczyków zadaje sobie pytanie, czy model liberalny albo społeczna gospodarka rynkowa jest najlepszą drogą budowania gospodarki przyszłości.

Ideolodzy kapitalizmu zobowiązali się zacieśniać więzi, ugościć biednych w globalnej wiosce wysokich technologii. Ta obietnica nie została dotrzymana. Dwie trzecie ludzi nigdy w życiu nie miało okazji skorzystać z telefonu, a jedna trzecia mieszkańców świata nie ma dostępu do elektryczności: są oni z miejsca usunięci na margines, wykluczeni ze światowego systemu wymiany.

Piewcy kapitalizmu zaklinali się, że będą promować zrównoważony, trwały rozwój i chronić jakże wrażliwą biosferę, od której zależy życie na ziemi. A jednak wciąż trwonimy nasze rezerwy paliw kopalnych, wysyłamy do atmosfery coraz większe ilości dwutlenku węgla, niszczymy ekosystemy, stwarzamy zagrożenie dla przetrwania istot żywych i zwiększamy ryzyko globalnego ocieplenia oraz katastrof klimatycznych w nadchodzącym stuleciu.

Powiedziano nam, że globalizacja, pod czujnym okiem kapitalistycznych rynków, zrodzi bardziej stabilny i pewny świat. W rzeczywistości terroryzm czyni postępy, podróże stały się bardziej ryzykowne, pokój jest bardziej zagrożony. Choć szefowie przedsiębiorstw krytykowali korupcję, która przeżerała dawne scentralizowane reżimy komunistyczne, to równocześnie wielu z nich praktykowało nie mniej szkodliwą prywatną korupcję, co przyniosło bankructwa najbardziej „wiarygodnych” firm i aresztowania ich prezesów. Neokonserwatyści atakowali piramidalną władzę i centralizm biurokratyczny w krajach komunistycznych; ale sami zastąpili go władzą nie mniej piramidalną i nie mniej scentralizowaną, a sprawowaną przez jakieś 500 międzynarodowych korporacji, które panują nad światem.

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (53)

(fragmenty)



W systemach demokratycznych bohaterami narodowymi z milionami (dolarów, odbiorców) bywają ludzie pracujący nogami (piłkarze), a broń Boże głową (filozofowie, naukowcy, poeci). Punkt ciężkości zainteresowań ludzkości przesunął się z głowy na nogi. Wszystko to dowodzi, że urosła nam armia proletariatusy umysłowych. Proletariatusze umysłowi wszystkich krajów łączą się, stąd coraz większa globalna siła rażenia kultury masowej.

Czas: ogień, który z coraz większą zachłannością pochłania kartki kalendarza, przeskakując językami z daty na datę; czasami wydaje mi się, że czuję swąd palącego się ubrania.

Mroźny ranek z wronami, rozmyślałam o
zmarłych przyjaciółch
Jaka nieograniczona swoboda
Być uwolnionym od siebie
I przefruwać już tylko
Niczym wrony z gałęzi na gałąź
z czyjejs pamięci
na czyjąś pamięć

Z dwu elektronicznych listów do pani Izabelli Miگاł, Polki z Kazachstanu, piszącej pracę doktorską na UJ z Szałamowa i mieszkającej od lat z mężem i córeczką pod Dębicą: „Poeta Ś., o którym mowa w liście, bardzo modny w swoim czasie i na pewno utalentowany, tak jak wielu polskich wojaczków poezji nie potrafi za żadne skarby przekroczyć progu dojrzałości: a więc progu odpowiedzialności za innych. Pokazuje światu i ludziom gest Kozakiewicza oraz język. Owszem, Kozakiewicz, wspaniały polski tyczkarz, miał prawo zademonstrować Rosjanom na olimpiadzie, gdzie mu się ręka zgina. Jednak pisarstwo, które polega głównie na pokazywaniu innym gestu Kozakiewicza oraz języka – jest wskazane i tłumaczy się tylko w młodzieńczym wieku. Później wskazuje już tylko na niedorozwój psychiczny. Mnie inte-

resuje pisarstwo, które jest rodzajem współodczuwania z ludźmi, bo podobnie jak Pani, on, ja, my czyli wszyscy ludzie na tej Ziemi – jesteśmy w gruncie rzeczy biedakami godnymi współczucia, z tego względu, że wyobrażenia, tęsknoty, marzenia, pragnienia, potrzeby przerastają nas, są za wielkie, nie na miarę naszego ciała, lecz raczej na miarę bogów. Natomiast realizacje – są ograniczone prawami ziemskiego przyciągania, śmiertelnym ciałem, krótkim życiem. Nie wiadomo czy Stwórca nie dał upustu sadystycznym albo satyrycznym skłonnościom, wsadzając w tak marne ciało tak dużego ducha? A może jednak zrewanżuje nam się przyszłym życiem, które okaże się na miarę tegoż ducha? Staram się w to wierzyć, ale wiem również na pewno, że tymczasem tu na Ziemi należy nam się od siebie parę słów pocieszenia i pokrzepienia”.

„Czytając wiersze wymądrzałskich poetów, najczęściej wrzuszam obojętnie ramionami. Filozofować można i trzeba na bazie słów najprostszych, tak czynił Sokrates. Swoją erudycją nie wypada się w poezji puszyć, wynosić się nią ponad innych, bo to niekulturalne i pretensjonalne; poza tym my, oświeceni wykształceniem, wcale nie rozświetlamy mroków tajemnicy istnienia i wiemy na jej temat tyle, co głupi Jaś. Uważam, że erudycję w wierszach należy raczej zacierać, czyniąc tylko aluzję do niej. A te aluzje właśnie, zamaskowane jak hieroglify egipskie w metaforach i obrazach, powinny zostać odczytane przez subtelne umysły krytyków, jeśli takowe istnieją w Polsce. Liryka czysta też może mieć swoje filozoficzne zakamarki, drugie, głębsze dno. Najczęściej nasi krytycy-naukowcy to jednak mało subtelne i mało wyrafinowane umysły, pragną mieć wyłożoną kawę na ławę, czyli cytaty, bezpośrednio odwołania do filozofów, wtedy »odkrywają« w wierszach te cytaty i ładują do swoich rozprawek całe strony niby swoich komentarzy, nierzadko zerznęte z podręczników filozofii. Tak łatwo, tak najbezpieczniej.

Horyzont filozoficzny pewnego znanego krytyka ograniczał się do znakomicie zredagowanej, grubej antologii filozofii światowej, zawierającej istotne cytaty filozofów z omówieniami ich dzieł. Ta francuska antologia liczy 800 stron, krytyk miał więc z czego obficie czerpać. Oczywiście nie wspominał o źródle swoich mądrości, ale ponieważ traf zrzędził, że również jestem w posiadaniu owego podręcznika-antologii, udało mi się wyciąć, skąd się one biorą i trudno się dziwić, że mój podziw dla jego erudycji przybladł.

Pyta Pani, dlaczego wybitni literaturoznawcy, którzy mają wiedzę o poezji w małym palcu, sami raczej nie piszą wierszy? Ja podobne problemy i pytania miałem w wieku lat 21, natomiast gdy mam lat 61, wiem na pewno, że literaturoznawstwo nie ma nic wspólnego z talentem literackim. Talent to sprawa organiczna, sprawa oddechu, sprawa nerwów, serca, nerek, ucha i oka, a może

jeszcze bardziej jaj oraz waginy. Talent poetycki do wykształcenia literaturoznawcy ma się tak jak piernik do wiatraka?! Profesor literatury podobnie jak student polonistyki może być najmniej utalentowanym poetą, natomiast pewien znany mi sprzedawca wiatraczków na Rynku Głównym w Krakowie, który ostatnio pozuje do fotografii jako rycerz w zbroi, ma talent, choć nieduży, i w wolnych chwilach od pozowania skrobie całkiem wdzięczne wiersze.

Poezja to wieczne zdziwienia, a nie rutyna profesorska. Literaturoznawca opisuje coś, co jest, a poeta stwarza coś z niczego (oczywiście przesadzam, bo z niczego tworzył tylko jeden twórca – Bóg). Talent jest w ogóle najbardziej tajemniczą sprawą pod słońcem, bo nie wiadomo od czego zależy, jakie składniki weń wchodzi, i w jakich proporcjach bywają rozmieszczane, dając artyście czarodziejską moc kreacji.

Co do pisania... Podobnie jak pan Jourdain mówił prozą, nie wiedząc o tym, tak wielu ludzi powiedziało w swoim życiu parę złotych czy niebanalnych myśli, nie zdając sobie sprawy, że je wypowiada.

Przez świadomość człowieka przepływa codziennie rzeka powszednich obrazów, myśli, odczuć i wspomnień; rzeka niosąca śmieci, szlam, muszle, patyki; rzeka, w której mają siedlisko płotki, żaby, najrozmaitsze pospolite żyjątka, ale w której też od czasu do czasu zapluska jak złota rybka oryginalna, czyli warta wyłowienia, refleksja. Rzeczą poety jest właśnie ślęczeć z wędką nad tą rzeką świadomości i podświadomości, z nadzieją, że uda mu się wyłowić parę złotych czy srebrnych metafor. Talent polegałby w tym wypadku na cierpliwym czekaniu, uważności oraz umiejętności odsiewania śmieci od nie-śmieci i refleksie w momencie, gdy złota rybka zapluska, żeby poderwać wędkę i wyrzucić ją na brzeg”.

cdn.



Rys. Barbara Medajska

Poezja w rytmie fado

Tomik **Romy Jegor** został zatytułowany „Tatuaz na jabłku” i składa się z trzech części noszących następujące nazwy: „Epoka węża”, „Fado” i „Słodki tlen”. Autorka jest członkiem Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego oraz Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Do tej pory wydała pięć tomików wierszy i wydaje się, że stworzyła ciekawy język poezji poetycki, wyróżniający się oryginalną metaforyką, wersyfikacją, zarazem ukazujący ciekawą i subtelną alternatywę dla rodzimej poezji kobiecej.

Część pierwsza tego zbioru to przede wszystkim utwory głęboko inspirowane mitologią biblijną odniesioną do osobistych przeżyć autorki, stawiającej się w sytuacji Ewy w stosunku do jej mężczyzny – bliskiego jej Adama (zdaje się męża Zdzisława), z którym zjedli ów zakazany owoc, a w konsekwencji musieli opuścić swój raj, choć ciągle za nim tęsknią. Klimat tej części dobrze oddaje wiersz tytułowy, w którym autorka pisze: „Adam z wężem na jednej gałęzi / łysiej tyją hodują w jabłku robaka / Ewa motyle ze szkła weneckiego nawleka / anioła stróża z piór rozbiera / Wąż wzdycha anioł się czerwieni / noc pachnie zdradą i zdejmuję kolczyk / Wiszą na jednej gałęzi księżyc i Adam / i zapach chilli ze spalonych skrzydeł // Robak nie ma jeszcze imienia / tylko tatuaz / na jabłku”.

Trudno się uwolnić od przekonania, że ta biblijna Ewa, w którą wciela się poetka, ma typowe dla kobiet – śląskie obyczaje. Zaświadcza o tym również inne wiersze nawet wtedy, gdy autorka próbuje przyjąć szaty Marii, widząc w Adamie Józefa, ale nigdy nie zapomina, że i ona była córką Ewy i Adama, a więc i ich upadku egzystencjalnego, który jest również udziałem poetki.

W części drugiej w rytmie fado autorka odbywa podróż mentalną po świecie w rytmie portugalskiej pieśni wyrażającej rozterki duszy skazanej na łaskę przeznaczenia, w czasie której przywołuje historyczno-mityczne obrazy odwiedzanych miejsc, w które próbuje wkomponować własne życie i jego główny nerw, którym jest dla niej miłość do owego przysłowiowego Adama, który niekiedy staje się nawet dla niej bóstwem. W wierszu „Eden” pisze z pasją: „(...)Znowu jestem Edenem nabrzmiewającym deszczem / w rowkach twoich śladów i krzesiwem / od którego palą cię palce / Miłość jest jak poezja cała wymyślona i tylko / my jesteśmy prawdziwi kiedy tak / otwieramy sobie żyły i płynął mi włosy / zupełnie jakbyśmy pili niebieską / wódkę z agawy”.

We wszystkich wierszach Jegor w pewien wyraźny sposób próbuje na własnym przykładzie i emocjonalnym doświadczeniu świata wracać jakby do początków istnienia czło-

wieka zanurzonym w mitycznych oparach kultury tego bosko-ludzkiego trójkąta, w którym trudno najczęściej kobiecie odróżnić tę miłość skierowaną do mężczyzny od miłości kierowanej ku Najwyższemu. Poetka widzi bowiem jego nieczułość, szczególnie we współczesnych fasadach naszego świata, zakrywających jego oblicze, ale i wrażliwość na ludzkie sprawy, w kontekście której miłość między ludźmi jest o wiele silniejsza w wymiarze twórczym, ale i destrukcyjnym. W wierszu pt. „Ucieczka” dowiaduje my się, że „(...) duszna miłość bogów których nudzą książki / drażnią ludzkie depresje i cieszy tylko ta / gra w kości / kobiet”.

„Ciekły azot, słodki tlen” – to wiersz kończący ten interesujący i nowatorski pod względem głównie metaforyki tomik Pani Romy, od którego pochodzi tytuł jego trzeciej części. Czytam w nim, m.in.: „Wszystko w nas jeszcze galopuje / a tu patrz i rok się kończy i znów / róże w ciekłym azocie ogród w narkozie / miasto znieczuleniu ulega / (taka martwa fala przed świątecznym / zatraceniem) / (...) ten przyszły rok to będzie tylko lato / codziennie bardziej słodkie jak / trawa odrastająca po cyrkowych sztuczkach / w miejscu gdzie lew ryczał i płakali clowni / i będzie szło powoli jak wozy ze złotem // i zacnie nas nakłuwac z pierwszą włócznią / stycznia”.

Poprzedzające go wiersze utrzymane w podobnej tonacji, ale i wersyfikacji i metaforyzacji – to bardzo detaliczny wgląd w epizodyczny wymiar naszej ludzkiej egzystencji zamglonej wzorami i wartościami ducha kultury, za parawan którego zagląda poeta, by w ten sposób dotrzeć do podglebia własnej, ale i naszej wspólnej egzystencji, której kruchość nas przeraża i zmusza, by uciekać przed siebie. Jednak jedyne co się liczy w tym świecie to – siła miłości do kochanej osoby, które wyrażają te „róże zamrożone w azocie” i do matki natury (ogrodu w narkozie), z wiosną dającego nam ów „słodki tlen” pozytywnych emocji, bez którego nie podobna żyć.

Nie trudno się zgodzić z opinią Leszka Żulińskiego zamieszczonej na skrzydełku okładki tego tomiku, iż: „Siłą tych wierszy jest wyobraźnia i konsekwencja w budowaniu „jednolitego obrazu” i nastroju. Co najważniejsze: Roma Jegor ma własny język, oryginalny, swój; nie da się jej przyrównać do jakiegokolwiek poetki czy do powinowactwa (uzależnienia). Można jedynie dodać, że dla Czytelnika może stać się jej twórczość źródłem wręcz narkotycznego uzależnienia, wzbogacającego głębie jego przeżyć duchowych.”

prof. Ignacy S. Fiut

Roma Jegor, „Tatuaz na jabłku”, Wydawca: Instytut Mikołowski, Mikołów 2010, s. 64.

Świat poetycki Andrzeja Bartyńskiego

Nie sposób nie powiązać twórczości literackiej **Andrzeja Bartyńskiego** z jego biografią. Biografią niezwykłą, bo gdy czytamy, że jako łącznik AK został wraz z całą rodziną aresztowany przez gestapo, osadzony w więzieniu, że miał wówczas zaledwie dziewięć lat, a w czasie przesłuchania stracił całkowicie wzrok, jest to dla nas nie tylko szokujące, ale i porażające. Tragedie II wojny światowej do dziś dają znać o sobie, a te dotyczące dzieci, którym przyszło zmierzyć się z okrucieństwem wojny, są szczególnie bolesne.

Andrzej Bartyński w roku 1946 przeniósł się z rodzinnego Lwowa do Wrocławia. Podzielił los wielu Polaków z naszych dawnych kresów wschodnich, którzy zmuszeni byli opuścić rodzinne strony, tracąc nie tylko swój dobytek, ale już na zawsze więź ze swoją „najściślejszą ojczyzną”, jak to pięknie określił Stefan Żeromski. Wrocław był tym miastem, z którym na trwałe związał swoje życie A. Bartyński – tu na uniwersytecie ukończył polonistykę, tu miały miejsce jego literackie sukcesy. Można powiedzieć, że Los, choć tak z początku okrutny, miał jednak dla poety coś w zanadrzu, a były tym jego zdolności i literacki talent sprzyjający mu nieustannie przez całą drogę twórczą. Mam w ręku w tym roku wydany tomik poetycki *Uczta motyla*. Dla miłośników poezji to prawdziwa duchowa uczta, że posłużę się słowem z tytułu zbioru, a ukazuje się ten tomik w 80. rocznicę urodzin autora.

Po lekturze tych wierszy aż chciałoby się powiedzieć, że poezja prawdziwa, ta co na lata zostaje w pamięci, musi wpływać z całej gamy przeżyć, doznań i doświadczeń twórcy, pokazać go nie tylko jako poetę, ale jako człowieka ze wszystkim tym, co ludzkie, a nawet powiedziałabym arcyłudzkie. Poeta sięgając po siebie samego, po swoje człowieczeństwo, dociera i do nas – czytelników.

Tych kilka słów o poezji A. Bartyńskiego chciałabym rozpocząć od wiersza szczególnie, jak sądzę, dla samego twórcy – to utwór zatytułowany *Jak kamień*. Przytoczę go tu w całości:

Mamo ja nie płaczę
bo twardy jestem jak kamień
ale kamieniem być niełatwo
gdy się nie widzi czy jest światło
w życiu oczy mieć warto
a ja mam tylko noc i noc
Mamo ja nie płaczę wiedz to
mówiłaś do mnie – synku walcz
walczyłem zawsze – nadal walczę
Mamo patrz ja nie płaczę
musisz być silny jak Herkules
mówiłaś Mamo do mnie czule
mamo ja nie płaczę w ogóle

(Dokończenie na stronie 18)

Świat poetycki Andrzeja Bartyńskiego

(Dokończenie ze strony 17)

tylko czasami ktoś powie w głos
nie widzieć świata co za los!
Trudną mam rolę w nocnym teatrze
Mamo ja nie płaczę
czasem zamyszę się przez chwilę
czy świat jest piękny – i to tyle
Mówiłaś do mnie
synku jak żołnierz
bądź dzielny taki
Mamo jam gotów
gotów do walki

Wiele jest w literaturze utworów poetyckich będących apostrofą do matki, jej osobie poświęconych, ale ten wzrusza szczególnie, a w kontekście życia autora potwierdza nie tylko jego nieustanną gotowość do walki, ale i to, że to właśnie jemu udało się przekroczyć samego siebie i z mroku wyjść na światło, kiedy to poezja staje się niosącym jasność drogowskazem.

A. Bartyński potrafi też zachować dystans zarówno do siebie samego jak i do otaczającej rzeczywistości, spojrzeć z lotu ptaka na to, co wokół, zdobyć się nawet na autoironię zaprawioną dozą humoru, jak np. w wierszu *Z balkonu*. Ten właśnie dystans pozwala mu (np. w wierszu *Erato*, świetnym do recytacji) na widzenie naszego jednostkowego bytu, człowieczego losu jako zaledwie maleńkiego trybiku w przetaczającej się Historii, z jej jakże dużą częstotliwością wojen. Tylko poeta może w jednym wierszu ogarnąć dzieje świata, pokazać w jego niewzruszonej stałości – zmienność.

Z kolei wiersz *Rozmowy poetów* to chyba w całości metafora naszych ludzkich spraw: wielkich i małych. I do końca nie wiemy, które z nich są dla nas naprawdę ważne, które są naprawdę wielkie, a które małe. Autor, „rozpatrując” różnice pomiędzy poetą wielkim a małym, kieruje naszą uwagę na istniejące obok siebie światy – jeden to ten wielki („jak wielkie kolumny historii/ kolumny transportu/ jak Autostrady/ Słońca Księżycy Gwiazd”) – jesteśmy jego częścią, ale ten drugi świat sprowadzony do naszej zwyczajnej codzienności, niekiedy aż nazbyt powszedniej może jest i mały, ale to on jest tym prawdziwym i na tę swoją może małą miarę – wielkim.

Swoisty urok i pewną specyfikę w brzmieniu frazy poetyckiej mają napotkane w tym tomiku ballady (*Ballada o Hance* i *Ballada o dziewczynie i dziewięciu bransoletach*). Rytm i rym wyczarowują nastrój udzielający się wyobraźni czytelnika. Motywy smutku, żalu, tęsknoty i melancholii, a także egzotyka sytuacji (Cyganie, księżyc, gwiazdy, mosty, dworce) przypominają momentami klimaty z muzyki country.

Dzięki różnorodności form wierszy: białych i tych klasycznych, rymowanych o rytmie prawie regularnym, niekiedy bardziej swobodnym, ale w sumie melodyjnym (mogących być tekstową propozycją dla kompozytorów) ten tomik staje się w odbiorze pełny i ciekawy.

Krystyna Cel



Andrzej Bartyński, „Uczta motyla”. Wydawnictwo EUROSYSTEM, Wrocław 2014, s. 66.

Mrówczy trud Zawadowskiego

Na książkę *Kiedys* Tadeusza Zawadowskiego składają się dwie części: *Modlitwa dziecinna* i *Mrówki*, które z pozoru wydają się być od siebie odległe zarówno pod względem obranej stylistyki wierszy, jak i pomieszczonej w nich treści. Pierwsza bowiem jest obrazem szeroko pojętego dzieciństwa we wspomnieniu nasyconym pamięcią zmarłych rodziców, gdzie to właśnie oni, by tak rzec, krystalizują sposób widzenia rzeczywistości. Każdy niemal utwór tam zamieszczony jest, na dobrą sprawę, im dedykowany. A z tej dedykacji wynika, że w życiu autora najistotniejszą rolę odgrywa Bóg ze swym planem, który w życiu człowieka jest jego wypełnieniem. Mały Tadeusz z pewnością tak o tym nie myślał, lecz już dojrzały w otwierającym książkę wierszu *Modlitwa dziecinna* pisze: „dzieciństwo moje bose / wybiegane na łące / szczęśliwe niczym głos kosa”. Szczęśliwe, bowiem pomimo biedy nasycone miłością rodziców i jego do nich, a wszystko to dzieje się w przepięknym krajobrazie gór, z którymi czuje się związany. Związany nie tylko poprzez ich obraz jako krajobrazu i wspomnia-

ną miłość, ale również dlatego, że najpiękniej tam w jego pamięci dzieje się Bóg. Ma bowiem On tam charakter, by tak rzec, bezwarunkowy. Wiara jest jakby pewnością Jego istnienia. Wystarczy spojrzeć na wiersz *W moim ogrodzie II*, gdzie: „Bóg chodził po ogrodzie / i rozdawał hostię”, czy *Beskid* - „Bóg z chmur schodzi / by na niedzielną mszę zdążyć”, albo *Kościół w górach*, tam wszędzie Bóg jest wręcz dotykalny, a poprzez to bardzo, rzec by można, istotowy (w sensie – prawdziwy), bo „chodził”, „rozdawał”..., czy jak w tym ostatnim wywołanym tu wierszu: „czekał na dole” i nie obciążone żadnym pytaniem jest to, że: „w monstrancji ukryty”. I poprzez to On faktycznie uczestniczy w życiu ludzi, a dzieje się tak dlatego, że „msze z gór schodzą/ niczym skóra z węża” i że wierni: „(...) kłękają przed gwoździem / który wypadł z krzyża”.

Znakomity poetycki obraz oddający istotę tej wiary, której podstawą jest pokora i całkowite zawierzenie. Msze, czyli ludzie (ten znakomicie postawiony przez Zawadowskiego znak równości), których (tj. ludzi) charakteryzuje może nie uświadomiona wspomniana wielka pokora, ale to właśnie ona powoduje, że ich wiara w Boga jest naprawdę prawdziwa, choć nie biorąca się z czystego aktu świadomości. Ba można wręcz słusznie podejrzewać, że jest nieświadomiona, co jednak w żaden sposób nie przeczy jej prawdziwości.

W takiej atmosferze wychowywał się mały Tadeusz i o tym pamięta. Jego pamięć kodyfikowana jest śmiercią obydwójga rodziców, dla których te wartości, możemy słusznie podejrzewać, były ponad wszystkim. Stąd też w tym klimacie pojawiają się w tomie *Kiedys* wiersze im poświęcone. „*Modlitwa o ojca*”, czy „*Piosenka dla Ojca*” oraz „*Moja mama w niebie*”, „*List do Mamy*” i inne – są wawisekacją pojmowania Boga jako dobra najwyższego. W tym sensie postrzega ich podobnie. Tym niemniej w aspekcie ludzkim daje się zauważyć pewną różnicę. O ile o ojcu Tadeusz Zawadowski pisze: „*Nocami milczę do Ciebie*” („*Wiersz dla Ojca*”), to o matce: „*Moja mama w niebie / kopie grządkę / sieje na niej nasturcję / i astry*”. W pierwszym przypadku podmiot nie znajduje słów, aby wysłowić swój ból, w drugim tworzy poetycką wizję matki obecności. Z uroczą, by tak rzec, ironią, zauważa że jego matka: „*tak zapracowana/ że nie zdążyła zauważyć/ że umarła*”.

Emocjonalnie obydwie widzenia są tak samo mocne. To milczenie o ojcu jest powodowane tym, że poeta ze Zduńskiej Woli słusznie twierdzi, że „(...) nie wymyślono jeszcze alfabetu śmierci”. Bo w istocie śmierć najbliższej osoby oddać słowem – to wymaga ogromnego dystansu i słowa, wszelkie słowa, zdają się być mialkie. Słowa o matce są tylko (albo i aż) kwestią bajkowej, można powiedzieć, wyobraźni poety. Bo przecież to matka w dzieciństwie jest tą, która do snu opowiada dziecku bajki. Teraz dojrzały poeta Tadeusz

bajkę opowiada, można powiedzieć, w odpowiedzi zmarłej matce. Warto wiersz *Moja mama w niebie* przytoczyć w całości:

*Moja mama w niebie
kopie grządki
sieje na niej nasturcję
i astry*

*zrywa niebiańskie jabłka
i przyrządza z nich słodkie
kompoty*

*biegnie do kuchni
by ugotować moją ulubioną
zupę szczawiową*

*taka zapracowana
że nie zdążyła zauważyć
że umarła*

Opowiada jej i nam i sobie. Bo zawsze jest tak, jak w wierszu wcześniejszym: „*przyszła do mnie mama / była taka / maleńka / że zmieściłaby się / w mojej dłoni // ale w niej / trzymałem ciastko / które mi przyniosła*”.

Piękny obrazek wartości matczynej miłości i naszej, która jej nigdy nie dorówna.

Część druga tomu *Kiedys* Tadeusza Zawadowskiego zatytułowana jest, jak wspomniałem na wstępie, *Mrówki*. Zmianie pomniejszych tam treści towarzyszy pewna odmienność stylistyczna. W miejsce prostych, klarownych fraz i sposobów obrazowania wchodzi zamierzona nie tyle zawilść, ile inny sposób akcentowania, łamania wersów. Stają się one jakby bardziej nerwowe, jakby ktoś zabrał im tę pewność, która była charakterystyczna dla części *Modlitwa dziecinna*. A przecież z pozoru by mogło się wydawać inaczej. Dojrzałość wieku winna charakteryzować się prostą i taką samą, lekką frazą. Efekt, wbrew pozorom, jest jednak zamierzony. Dusza poetycka jest świadoma i wie, że pamięć dzieciństwa to nie to samo, co spotkanie z teraźniejszym życiem i że:

*Dusza boi się bólu Z przażeniem
patrzy na rozbite kolano i czym prędzej ucieka
gdzie pieprz rośnie
Trzeba ją długo przekonywać
że się ono zablizni Dopiero wtedy powoli
krok po kroku powraca i chowa się
pod pachą lub za uchem i stamtąd
nasłuchuje jak rana się goi*

A dlaczego? Bo „*Dusza boi się samotności / To taka strachliwa istotka Siada nam / na ramieniu i drży na myśl / że możemy ją opuścić*”.

W miejsce *Modlitwy dziecinnej* wypycha się nieuchronnie czas teraźniejszy, w miejsce przeszłości to co dzieje się teraz, z którym należy sobie poradzić. To tu dzieje się autentyczny mrówczy trud poety. A zatem przede

wszystkim twórczość. Wiersze *Mrówki*, *Po co wiersz*, *Hodowca słów*, czy *Mrówka* to korzenie się w słowie w tym sensie, że ma ono odpowiedzieć na podstawowe pytanie poety o sens bytu. Czytając wiersze tej części ma się nieodparte wrażenie, że po postrzeganiu Boga jako instancji najwyższej, z którą się nie dyskutuje bo nie ma takiej potrzeby, do głosu dochodzi ta świadomość, która mówi o potrzebie logiki sensu takiego widzenia.

Czy podmiot wierszy Zawadowskiego ją znajduje? Odpowiedzią jest poniekąd ostatni wiersz tomu *Kiedys*. Autor pisze: „*Ojcie który jesteś / Bądz*”. „*(...) który jesteś*”, czyli jednak wiara. „*Bądz*”, czyli jednak jakiś jej brak. Ta ambiwalentność to oś części *Mrówki*. Jak więc poprzez słowo radzi sobie z tym dylematem poeta? Wiedziony intuicją zwraca się ku światu zewnętrznemu. Ku temu co na zewnątrz w oglądzie zastanej rzeczywistości. Zauważa: „*Nie wiem o czym myśli mucha / Gdy chodzi po stole / Czy krok jej chwiejny / Czy może taneczny*”.

Zauważa język, którego nie potrafi odczytać. Zauważa, że nie wie czy mucha „*(...) wie co to szpilka / Gdy siada na szpilce*”. Odkrywa rzeczywistość jakby sobie dotąd nieznaną. Stąd i nie wie: „*(...) czy moje słowa mogą zranić / Czy ranę zabliznić*”. Ta umiejętność zauważania i ta możliwość widzenia zewnętrznego wiedzie go tam właśnie – ku spojrzeniu z zewnątrz, a nie poprzez własne „ja”. Poeta stara się świat zewnętrzny oswoić, a poprzez to nadać mu wartości. Zastanawia się nad sensem wielkich liter w lingwistyce, a tym samym i małych kreśląc ich poetyckie definicje (wiersz *Wielkie litery*). Zastanawia się nad tym co w życiu wielkie, a co małe (*To co wielkie*) i zauważa, że w przeciwieństwie do tego co człowiek widzi powierzchownie (a więc poprzez własne „ja”) – „*a my wciąż szukamy / na arenach / pośród błysków fleszy*”, wielkie jest to, co: „*(...) nie znosi hałasu / siedzi cicho / jak mysz pod miotłą*” i „*(...) jest tak proste / że aż zawile / w swej prostocie*” – tak nam się wydaje, bo tego jeszcze nie doświadczyliśmy, „*a ono jak mrówka / odnajduje właściwą drogę*”. Takiego odnalezienia właściwej drogi Tadeusz Zawadowski poszukuje i śmiał twierdzić, że jest na właściwej drodze, gdy pisze: „*To co wielkie / chyli nisko czoło*”. Retrospekcje z dzieciństwa grają tu dużą rolę. Warto przypomnieć ten wiersz *Świt w górach* z części pierwszej *Modlitwa dziecinna*, gdzie wierni „*(...) klękają przed gwoździem / który wypadł z krzyża*”.

W części *Mrówki* mieszają się jakby dwie opcje postrzegania. Ta pierwsza będąca w dużej mierze retrospekcją dzieciństwa, gdzie Bóg ma znaczenie priorytetowe i jego plan jest przyjmowany jako coś naturalnego, z drugą, poszukującą logiki tego stanu rzeczy, gdzie w jej miejsce wkłada się, by tak rzec, ludzka przypadkowość, jak w wierszu *Gdyby*. Daje się tu zauważyć lekcje u Wisławy Szym-

borskiej: przypadkowość – brak planu – w konsekwencji nicość. Oswajanie rzeczywistości z nią w tle. „*Gdyby nie pojawił się zbyt wcześniej / Gdyby nie spóźniła się na autobus*”, stąd „*Siedzą teraz osobno popijając wino / Nie wiedząc nic o swoim istnieniu*”. Ten brak poczucia akuratności czasu krystalizuje się w utworze *Moment*, gdzie: „*Moment jak to moment nie zawsze dogodny / Żeby wstąpić na drogę*”.

Lekcje nicości, przypominające o lekturze wierszy Szyborskiej, dają się zauważyć i w innych utworach poety ze Zduńskiej Woli. Już wspomniany wcześniej tekst *Wielkie litery* nawiązuje do *Wielkiej liczby* Noblistki, a niemożliwość racjonalnego przeniknięcia do świata zewnętrznego, obrazowana w tak wielu jej wierszach, znajduje swój wyraz w cytowanym wcześniej *Nie wiem*. Ta nicość, ta przypadkowość nie jest jednak tym, w czym dobrze by się czuł podmiot wierszy Zawadowskiego. We wspomnianym wierszu *Moment* wyznaje: „*Momentami mam dosyć / Różnych takich momentów*”. Romans z Szyborską zdaje się więc być chwilowy. Od niej jednak, albo lepiej – poprzez jej poezję zauważa w części *Mrówki* możliwość postrzegania zewnętrznego, czyli „*Nie wiem co myśli mucha*” z wiersza *Nie wiem*; uczy się nazywania tego co zewnętrzne (*Nazywanie przedmiotów*).

Ale jednak i pomimo że z dużą dozą racjonalności (w charakterze Szyborskiej) pisze „*Nie stracę życia / nigdy kiedyś / utraci mnie*” (*Strata*) to w wierszu *Szukanie miłości* pojawia się taka fraza: „*Wciąż jej szukamy / choć dawno już z nami*”, co świadczy, że plan już został nakreślony. Że Bóg wie, co robi, co stoi w jawnej sprzeczności z przypadkowością i nicością. Te dwa światy zderzają się w części *Mrówka*. Mrówczy trud Zawadowskiego dzieje się w słowach *Modlitwy o czas przyszły*, w stwierdzeniu: „*Ojcie który jesteś*” i zawierzeniu wierze oraz „*bądz*”, czyli niech się stanie, niech moja wiara będzie wiarą przodków, jak w części pierwszej *Modlitwa dziecinna*.

Książka Tadeusza Zawadowskiego z pewnością zasługuje na uwagę. Już to ze względu na przedstawioną tu dramaturgię, tak istotną w obecnych czasach. Warto wspomnieć, że została ona nagrodzona Nagrodą Literacką im. Klemensa Janickiego i wyróżniona podczas Międzynarodowego Listopada Poetyckiego.

Janusz Orlikowski

Tadeusz Zawadowski, „*Kiedys*”. Biblioteka „Tematu” nr 71, Bydgoszcz, 2014, s. 92.



W dobrym towarzystwie

Poeta, **Jarosław Zieliński** wychodzi poza opłatki nasze, polskie, rodzime. Dowodem właśnie wydana przez Oficynę Wydawniczą ASPRA-JR jego książka poetycka pod podwójnym tytułem *Poeta chowa się w słowach. Poetul se ascunde in cuvinte*. Czyli poezja młodo zmarłego twórcy zawitała na początek do Rumunii. A wszystko za sprawą prof. Alexandru G. Serbana, długoletniego tłumacza poezji polskiej na język rumuński, który przełożył dotychczas m.in. utwory takich poetów jak: Czesław Miłosz, Wisława Szymborska, Tadeusz Różewicz, Julian Tuwim, Leopold Staff, Edward Stachura, Józef Czechowicz, Aleksander Nawrocki oraz mniej znanych: Henryka J. Kozaka, Jerzego Cieszkowskiego, Stanisława L. Popka, Ryszarda Kornackiego czy Waldemara Michalskiego. Ich twórczość, tak przecież mocno zróżnicowana, to była dla niego dobra szkoła przekładu. Teraz bardzo dobrze, jak twierdzą znawcy, i w krótkim czasie, przetłumaczył poetę z nowego pokolenia, pokolenia, które dojrzewało w Polsce po 1989 roku, a więc innego niż jego poprzednicy. Jarosław Zieliński, co jest widoczne w jego poezji, czuł się obywatelem świata, był kimś swobodnie podróżującym po wszystkich krajach, znającym języki, a więc korzystającym z obcej kultury w sposób świadomy i bez kompleksów.

Tłumacz przełożył dokładnie sześćdziesiąt jego wierszy. Warto więc chyba dowiedzieć się jakim kluczem się posłużył, co wybrał ze spuścizny Jarosława Zielińskiego. Nie trudno to prześledzić, korzystając z jego kanonicznego tomu *Słowa i linie*.

Ale na początek zacytujmy fragment eseju na temat poezji Zielińskiego, który z tej okazji prof. Serban przygotował: „Liryka polska byłaby uboższa, gdyby nie miała takiego poety jak Jarosław Zieliński. Jego poezja wydaje się być obrazem społeczeństwa, które nie może zniszczyć niczych marzeń, nie może ich unieszkodliwić. W tej poezji odnajdujemy te same tematy, co w literaturze dawnych czasów: pochwałę miłości, zachwyt życiem, refleksje nad przemijaniem. Wiersz *Pierwszy (Primul)* przynosi nam obraz ukochanej, która żyje wczorajszym szczęściem, nikt jej nie bierze w ramiona. Samotność, którą przeżywa wywołuje tklivość w sercu zakochanego. Ten sam temat pojawia się w utworze *Potrzeba miłości (Necesitatea iubirii)*...”. Widać z tego jak różnie można odczytywać wiersze Zielińskiego. Przecież w tekście *Pierwszy* napisanym przez czternastoletniego młodzieńca inny krytyk odkrył, że „[...] jest w tym wierszu, zaskakująca jak na wiek piszącego ogromna spolegliwość, determinacja, niezachwiana wiara w siebie [...]”. Kim jest

piękna nieznajoma z wiersza, do której zwraca się ze swoim wyznaniem? Dziewczyną. A może Poezją? Jeśli zdecydujemy się na to drugie rozwiązanie wszystko staje się proste. Od początku poeta dialoguje ze swoją muzą, której na imię... Liryka”.

Tom polsko-rumuński zaczyna się właśnie wierszem *Pierwszy*, pewnie b. ważnym dla autora, skoro umieścił go także na czołowym miejscu w tomie *Słowa i linie*. Zacytujmy przynajmniej po kilka linijek tego utworu w obu językach, by poczuć ich *pałę*, jak mówi młodzi. Wersja polska brzmi:

*Kiedy zamkną przed tobą drzwi domu radości
staniesz zamyślona wśród tanecznego kręgu
wejdź do ogrodu smutku
[...]*

Wersja rumuńska brzmi:

*Cand vor inchide dinaintea ta usile
de la casa fericirii
vei ramane pe ganduri in mijlocul
[...]*

Kolejne utwory poetyckie przełożone przez prof. Serbana to: *Lot do gwiazd, W blasku światła, Deszcz, Jak powiedzieć, Pytania, Odpowiedź, Gdy miłość była Bogiem, Ja, Słuchaj, Nie kocham, List, Wizje w błękicie, Pijany ptak...* Nie ma potrzeby, by wymieniać wszystkie tytuły. Widać jednak, że tłumacz dokonał sumiennej kwerendy całego tomu, wybierając najpewniej te utwory poetyckie, które stały mu się najbliższe, to był ten „klucz” do liryki Jarosława Zielińskiego.

Wiemy, znając choćby dorobek translatorski prof. Alexandru G. Serbana, jakich polskich poetów poznali dotąd rumuńscy czytelnicy. Teraz dołącza do nich poeta, który w 2012 roku otrzymał Nagrodę Literacką im. ks. Jana Twardowskiego. W tym roku mija sto lat od Jego urodzin, a więc jest to jakby pośredni ukłon w stronę najpopularniejszego poety polskiego drugiej połowy XX wieku, czyli młody polski twórca dotrze do czytającej publiczności rumuńskiej w dobrym towarzystwie.

Na koniec należy podkreślić, że tom został pięknie wydany, w twardej oprawie i w poręcznym formacie; projekt okładki i ilustracje są dziełem Barbary Kuropiejskiej-Przybyszewskiej. Współpraca i konsultacja podczas redakcji tekstów: Liliana i Bogdan Suster oraz prof. dr Traian D. Stanculescu.

Jędrzej Konieczka

Jarosław Zieliński, „*Poeta chowa się w słowach. Poetul se ascunde in cuvinte*”. Wydanie polsko-rumuńskie. Wybór i przekład: Alexandru G. Serban. Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR, Warszawa 2015.

Monika Sznaucner-Telka

* * *

Świat zachorował
z dnia na dzień
na śmierć

pousuwał spod nóg
wyspy oswojonej ziemi
rozchwiał latające w powietrzu słowa
sczepił je z ostatecznością
twardą
zimną
zakopaną
przed zasięgiem wzroku
pod podłogą dla myśli

idzie
koszmarnym korowodem
po swoje
czarną ścięzką głów
łodygami zawiniętymi wokół palców
wstęgami z emblematem uczuć

i nagle
wyrwa w pochodzie do celu
Mówi, że świat
już zawsze będzie wchodził do gardła
kadzidlęm
a w rękach
zostawi tylko ręce...

Serca z buzu

Jest gorąco
A nad głowami
Wiszą nam bzy
Coraz cięższe
Coraz zieleńsze ich liście
Z serc
Ścielą posłanie
I głębiej wonieją
Fruną po ciele
Z dwóch par rąk i nóg
Z głów
Zapamiętałe drgających
Jeden sens myśli
Chłonnie nas niebo
Spada
Tysiącem kolorów
I wszystko jest jedno
Wzbija się jednym skurczem
Wsparciem o ziemię
Podniesieniem

Aż chłodny wieczór
Z dusznej pary
Wyłowi Ciebie i mnie

Filozofia codzienności (99)



Dziś mówi się wiele o godności człowieka i prawach człowieka, ale nie towarzyszy temu ich respektowanie. Godność człowieka ma zasługiwać na szacunek. Jest to właściwość, która przysługuje każdemu człowiekowi z racji należenia do rodu ludzkiego. Jednakże firmy farmaceutyczne traktują w gruncie rzeczy człowieka jako środek do celu, nie zaś wartość samą w sobie. Przysięga Hipokratesa i kodeks etyczny obowiązujący farmaceutów staje się deklaracją odbiegającą od stanu faktycznego. Reklamy, które osaczają człowieka XXI wieku i dotyczą wszelkich przejawów naszego życia – przynajmniej w sferze związanej ze zdrowiem, powinny podlegać daleko idącym restrykcjom. Zamiast reklam, które wypełniają naszą codzienność, powinno się jedynie odpowiedzialnie i rzeczowo informować o lekarstwach.

Kształt świata zależy od świadomości człowieka i płynących stąd decyzji. Niepohamowana chęć zysku i brutalne poszukiwanie rynków zbytu przynajmniej w dziedzinie farmacji nie powinno dochodzić do głosu. Wiem, że niejednemu Czytelnikowi powyższe słowa wydadzą się zbyt idealistyczne i nierealne, ale odpowiem na to, że nie ma żadnego powodu, by narzekać na wady świata, w którym żyjemy i biernie przyglądać się temu, co budzi nasze niezadowolenie. Najbardziej z pozoru utopijne idee bywały wprowadzane w życie za sprawą determinacji i uporu tych, którzy pragnęli poprawiać świat.

Dzieje kultury, a tym także dzieje farmacji, prowadzą do wniosku, że idee niepopularne bywają potem akceptowane. Nie w tym, co powszechnie uznane za prawdziwe należy poszukiwać drogowskazów. Słuszność leży często po stronie mniejszości.

Od niepamiętnych wieków toczą się dyskusje dotyczące wartości człowieka. Poglądy są i były niezmiernie zróżnicowane. Dla jednych ma znaczenie warstwa społeczna, z której jednostka pochodzi, dla drugich – stopień zamożności ma być szczególnym wyróżnikiem, czy na przykład miejsce w hierarchii społecznej, bądź wykształcenie. Nader rzadkie i wręcz odosobnione są głosy tych, którzy biorą pod uwagę poziom rozwoju uczuć jako kryterium oceny człowieka. Bywało też, że zasługi w bezinteresownych działaniach na rzecz społeczeństwa decydowały o

czyjejs szczególnej wartości.

Dziś społecznikowskie postawy są dla wielu śmieszne, bo nieopłacalne. Na szczęście nie wszyscy tak myślą, a wzory właściwych postaw dziś można odnaleźć wśród części aptekarzy. Aptekarz bowiem, jeśli wybrał ten zawód z powołania, urzeczywistnia w swoich działaniach zasadę równości.

Zasada jednakowego traktowania wszystkich pacjentów, to warunek prawidłowego wykonywania zawodu, który ma w sobie elementy pełnienia szczególnej misji w społeczeństwie. Trzeba o tym mówić i pisać, ponieważ działania niektórych firm farmaceutycznych prowadzą – jako skutek – do uprzywilejowania osób zamożnych. Zachęta czy reklamowanie drogiej leków w aptece skierowane są właśnie do tych, którzy mają większe dochody. W ludziach biednych powoduje zwiększone poczucie bezradności. Apteki pozbawione reklam należą, niestety, do wyjątków.

Obowiązkiem aptekarzy wobec pacjentów jest postępowanie takie, którego pacjenci są uprawnieni oczekiwać. Najbardziej pożądanymi są aptekarze o silnym charakterze. To znaczy tacy, którzy umieją „iść wytrwale w kierunku który sobie wyznaczyli, chociaż ich »ciągnie« do czego innego, w innych kierunkach”, jak to określił filozof XX wieku Bolesław J. Gawecki.

Farmacja, podobnie jak medycyna, ma ścisły związek z wiedzą teoretyczną, ale zaliczana bywa do nauk praktycznych. Jednakże najgłębsza wiedza pozostaje bezużyteczna, jeżeli posługują się nią ludzie pozbawieni stosownych cech charakteru, a w tym chęci niesienia pomocy innym. Jest to szczególnie wyraźne w przypadku aptekarzy.

W latach trzydziestych ubiegłego wieku podkreślano wyraźnie, że prace ustawodawcze określające obowiązki i uprawnienia zawodu aptekarskiego w Polsce są czynnikiem istotnym możliwości rozwojowych tego zawodu. Należy to obecnie przypominać, by zdać sobie sprawę z tego, jak wiele trzeba włożyć wysiłku w odbudowanie w Polsce zawodu aptekarskiego. Nastąpił wszak regres w stosunku do sytuacji sprzed siedemdziesięciu lat.

Warto także przypomnieć, że w okresie międzywojennym podkreślano, że pauperyzacja zawodu aptekarskiego jest poważnym niebezpieczeństwem dla zdrowotności i obronności kraju. Wskazywano, że apteki powinny stanowić wszechstronne i samodzielne placówki przemysłu farmaceutycznego. Domagano się także, by zawód aptekarza był równie wyodrębniony co na przykład zawód lekarski, czy adwokacki. Mimo rozwoju przemysłu farmaceutycznego apteka powinna pozostać wytwórniami leków oraz miejscem fachowego ich wyboru, przechowania i kontroli. Już w tamtych czasach wyraźnie stwierdzano, że milczenie aptekarzy wobec zezwoleń na sprzedaż leków poza apteką należy odczytywać jako wyraz zgody. Chodzi

w tym przypadku nie tylko o dobro aptekarzy, ale również o dobro każdego członka społeczeństwa. Niepokojąca jest dziś bierność środowiska aptekarskiego.

Warto sięgać do przeszłości. Otóż dokonano w Polsce niepodległej, po przeszło stu latach niewoli, wielkiego dzieła: uchwalono jednolite ustawodawstwo aptekarskie. W dyskusjach i stosownych uregulowaniach ustawodawczych dochodziły do głosu problemy zdrowia publicznego – nie zaś czykolwiek interesy. Sprawa aptek była uznana za sprawę publiczną. Przemysł farmaceutyczny miał poczucie odpowiedzialności za lekarstwa od momentu ich wytworzenia aż do chwili kupienia przez chorych. Na tym tle ciśnie się pytanie retoryczne; co stało się z poczuciem odpowiedzialności, skoro dziś panuje milcząca zgoda na sprzedawanie lekarstw w domach towarowych, na poczcie i stacjach benzynowych. Lekarstwa są ułożone w taki sposób, by znudzonych oczekiwaniem w kolejce do kasy, zachęcić do kupienia.

Do stanu farmaceutów dopuszczane były w połowie XIX wieku osoby jedynie wyznania chrześcijańskiego. Była to dyskryminacja, mająca u podłoża podział obywateli na lepszych i gorszych stosownie do wyznania religijnego. Dziś także obserwuje się wieszanie krzyży w aptekach, co może być negatywnie przyjmowane przez niechrześcijan, jak również przez tych, którzy zdają sobie sprawę, iż pozostaje to w sprzeczności z demokracją. Ustrój ten ma charakteryzować się neutralnością światopoglądową państwa, a więc nie powinno być ono ani świeckie, ani wyznaniowe. Apteki są miejscem publicznym i chociaż są własnością prywatną, to powinny być wolne od jakichkolwiek symboli wyznaniowych.

Dawne publikacje dotyczące aptekarzy wzmagają refleksje nad aktualnymi problemami. Warto czerpać z tradycji, łącznie z tradycją Królestwa Polskiego.

Niepokojąca komercjalizacja

Zwyczaj, czyli fakty powtarzające się zachowania ludzi w określonych okolicznościach, są mocniej utrwalone w świadomości niż zmieniające się wciąż przepisy prawne. Zwyczaj powstają żywiołowo, ale siła ich oddziaływania trwa przez pokolenia. Są one dość sztywne w porównaniu do giętkiego prawa stanowionego, inaczej pozytywnego. Ostatnio nagina się u nas to prawo do wymagań prawa europejskiego.

Respektowanie zwyczajów budzi zaufanie. Umacnia też przekonanie, że partner z którym mamy do czynienia jest solidny i poważny. Zwyczaj są z natury swej konserwatywne, bo oparte na sytuacji dnia minionego, ale stanowią platformę porozumienia.

cdn.

Marian Szyrakowski

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie -
człowieka o sobie**Żeby żyć**

Żeby żyć, trzeba pić. Tak do nas, siedzących przy okrągłym stole w *salonie mych myśli*, powiedziała błękitnooka i złotowłosa Wiosna. Tak powiedziała. Żeby żyć trzeba pić. I przed każdym z nas postawiła odkorkowaną butelkę wina o pięknej nazwie *Święty Mikołaj*.

– Nie mogło być lepiej, Wiosno – wyraził swą pochwałę rubinowym barytonem filozof Pan Nietwór. A czegoś jeszcze brak, jak łatwo się domyśleć. Brak pucharów, chyba że podejmiemy jednogłośnie uchwałę, że każdy pije po swojemu. Kropelka po kropelce, albo łyżek po łyżku, albo łyk po łyku, albo wszystko za jednym zamachem. Ciach babę w piach, no i fajno jest.

– Puchary już idą, już biegną razem ze mną – to szmaragdowy alt piwnookiej, jak heban czarnowłosej, Luni. Już idą, już biegną, już są na stole przed każdym z nas.

– Nalewaj, nalewaj, nalewaj, a jak potrafiś, to śpiewaj – to srebrzysty tenor Daniela Spaniela, który jako asystent filozofa Pana Nietwora wie, co mówi i wie, po co mówi.

– Nalewam, nalewam, nalewam – odpowiedziała Luna – i jak usłyszycie zaśpiewam: *siała baba mak, nie wiedziała jak, a dziad wiedział nie powiedział, a to było tak*.

– A to było tak – roześmianym głosem ciągnie sprawę za uszy Daniel Spaniel – Stefan Batory włądził do komory, najadł się gruszek bolał go brzusek.

– A to było tak – teraz roześmianym głosem ciągnie sprawę za uszy filozof Pan Nietwór – masz niewątpliwą słuszość. Masz wielką rację. Mówisz czystą prawdę, Wiosno. Żeby żyć trzeba pić. A gdzie ta woda? Gołębie wypily. A gdzie te gołębie? Na dębie. A gdzie ten dąb? Woda zabrała. A gdzie ta woda? Gołębie wypily. A gdzie te gołębie? W salonie

mych myśli.

A gdzie ten salon? Przy okrągłym stole. A gdzie ten stół? Na spadzistym stromym dachu. A gdzie ten dach? Przecież to nasze życie, od początku do końca, wschód i zachód słońca.

– Masz niewątpliwą słuszość. Masz wielką rację. Mówisz czystą prawdę, Panie Nietworze. Żeby żyć, trzeba pić – bursztynowym głosem powiedziała Wiosna i puchar podniosła. A to było tak: Siedzi dudek na dachu i patrzy przez lupe, księżyc się odwrócił, pokazał mu d...

Pecunia non olet! Zawołał pistolet i strzelił w powietrze, a dudek na dachu nie czuje strachu i pije z pieprzem w najlepsze.

– A to było tak – odezwał się czyjś głos, jakby głos Autora – a to było tak. Na skrzydłach poezji, filozofii i wyobraźni unosi się *salon mych myśli*. Siedzimy przy stole. Żeby żyć trzeba kpić. Po to przyszedliśmy tutaj. Przed każdym na stole stoi *Święty Mikołaj*. Lecimy w kosmosie nie od wczoraj. W *salonie mych myśli* przy stole natchnienia czy czujesz ten zapach, zapach istnienia? A to było tak: Zapach twego ciała powalił mnie na kolana, a wszyscy myślą, że jestem taki nieugięty, aby na klęczkach demonstrować mój filozoficzny pogląd na świat. Zapach twego ciała, to cudowny obraz wszechświata, który tylko dzięki tobie mam w nosie. Dlatego na nic nie muszę patrzeć. Mój świat – zapach twego ciała.

– Czy słyszysz, Wiosno – Pan Nietwór pyta.

– Czy słyszysz, Luno – Daniel Spaniel pyta.

– Słyszemy obie, bo jesteśmy razem jednego ciała zapachu Pegazem. Zapachem kosmosu, dla poety losu. I to jest dla nas nakazem.

Tu koniec, kropka, kropelka. Na stole *Święty Mikołaj* stoi w butelkach. Żeby żyć trzeba śnić. Niechaj każdy zapamięta.

Oto nadchodzi Nowy Rok, rok 2015 i nuci pod nosem piosenkę moralną. Żeby żyć trzeba śnić i czytać „Gazetę Kulturalną”. A w „Gazecie Kulturalnej” – *Uśmiech życia*. Powstał w łóżku o godz. 8:21 rano w dzień Wigilijny.

*jeden czuje się lepiej – idzie pewnym krokiem
drugi czuje się gorzej – wsiada do tramwaju
z południowego zachodu wiatr wieje
z północnego wschodu pociąg jedzie
deszcz pada, robi się mokro
a ona suszy mu głowę
dlaczego nie przyniósł Coca-Coli
książka pt. „Pomóż człowiekowi”
leży na stole, nikt jej nie czyta
wiatr wieje, pociąg jedzie, deszcz pada
uśmiechu życia niewidomi nie widzą
dlatego sami się uśmiechają
uśmiechają się sami do siebie*

– Żeby żyć, trzeba śnić! – powiedziała Luna i podniosła puchar.

– W tej właśnie chwili myśmy się obudzi-

li. Ja, ty, my i on, nasz Autor.

Wiatr ustał, pociąg dojechał, deszcz przestał padać. Ze stołu zniknęła książka. A ona przestała suszyć mu głowę. Jak nowy uśmiech życia pojawiła się Coca-Cola, a przecież o to chodziło.

– Żeby żyć, trzeba pić! – powiedziała już przebudzona Luna i z namaszczeniem, powoli wypila szklankę Coca-Coli.

A my solidarni ciągnąc sprawę za uszy w *salonie mych myśli* przy okrągłym stole, na spadzistym stromym dachu, przy pomocy równowagi ducha bez najmniejszej kropelki wahania uczyniliśmy tak samo.

**Poszukując
Hippokrene**

(Dokończenie ze strony 13)

Teresa ma łatwość budowania nastroju oraz malowania poetyckiego obrazu. Dość częstym zabiegiem jest tu łączenie w jeden metaforyczny zespół różnorodnych wrażeń zmysłowych, czyli posługiwanie się synestezją. W wierszu „Słoneczne strony” widzimy jak „Karminowo-różowe łąki / błękit nieba suplem słońca spina” i słyszymy unoszące się nad nimi „rozedrgane skowronki”, „Ostatni sen o miłości” przynosi z kolei ucztę oczom („Świecące czerwone księżycy”), smakowi („toczą słodyczy”) i dotykowi („W moich dłoniach kryształek lodu”). I na dodatek mamy tu znów do czynienia z motywem przewodnim tomiku, czyli ze snem.

Niech się więc spełnią słowa Tomasza Różyckiego wybrane przez autorkę jako motto, niech jej będzie dane: „(...) śnić – ponieważ wszystko ma początek w snach – naprawdę dużo śnić i czekać na moment, kiedy jakaś siła każe zapisać kolejne słowa, w których będzie można jakoś żyć.” Słowa Teresy Nietykszy pomagają bowiem żyć nie tylko jej, lecz także czytelnikom.

Wanda Nowik-Pala

Teresa Nietyksza, „Mimo ulotności”, Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2014, s. 128.



POEZJA

„100 polskich wierszy. Antologia poezji patriotycznej”. Opracował Jan Tomkowski. Redakcja: Magdalena Lenart. Ilustracje: Stanisław Wyspiański. Opracowanie graficzne: Piotr Hrycek. Okładka: Andrzej Gosik. Wydawnictwo 2 Kolorz Sp. z o.o., Warszawa 2014, s. 256.

Daria Dziedzic, „Crack”. Zdjęcie autorki na okładce: Małgorzata Jasik. Projekt okładki, opracowanie graficzne: Art Coloris. GNİOTOWNIK, Poznań 1014, s. 82.

Sylwia Gibaszek, „Prolog do Sylwii”. Projekt okładki: Krzysztof Paweł Majewski, Grzegorz Stepniak. Ilustracje: Sylwia Gibaszek. Nakład autorski, bez miejsca i roku wydania, s. 80.

Urszula Gierszon, „Przymierzalnia”. Grafiki i projekt okładki: Urszula Gierszon. Opracowanie graficzne: Jacek Wałdowski. Wydawnictwo Drukarnia Liber Duo, Lublin 2014, s. 54.

Barbara Gruszka-Zych, „Nie ma nas w spisie”. Opracowanie graficzne: Marek J. Piwko {mjp}. „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2014, s. 60.

Krzysztof Kranicki, „Wracając z Emaus”. Rysunki: Karol Prajzner. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2014, s. 64.

Krzysztof Kranicki, „Wracając z Emaus”. Rysunki: Karol Prajzner. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2014, s. 64.

Jan Kurowicki, „Migotanie osobności”. Projekt okładki, ilustracje: Rafał Babczyński. Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2014, s. 110.

Zdzisław Tadeusz Łączkowski, „Hymn zwycięstwa”. Wstęp: Marzena Fryckowska/ Ilustracje: Edo Tuz. Zdjęcie na IV stronie okładki: Eligiusz Dymowski. Projekt okładki: Justyna Kulaga-Wytrych. Wydawca: Polskie Towarzystwo Nauczycieli, Kielce 2014, s. 58.

Jacek Łukasiewicz, „Rytmy jesienne”. Projekt okładki: Wojtek Świerdzewski. Projekt typograficzny: Artur Burszta. Seria *Poezje*, tom 108. Biuro Literackie, Wrocław 2014, s. 76.

Sławomir Matusz, „Piosenka o okienkach. Po-dwórko Szpilmana”. Zdjęcia: Sławomir Matusz. Biblioteka *Poezji* / Biblioteka „opos”, tom 100. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Topo-su”, Sopot 2014, s. 72.

Rafał Orlewski, „Kwiaty i znicze”. Wybór tekstów i opracowanie redakcyjne: Rafał Orlewski. Projekt okładki i zdjęcie: Witold Stawski. Wydawca: Nauczycielskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe NASTOK, Piotrków Trybunalski 2014, s. 138.

Stanisław Rogala, „Idę ku ciszy”. Redakcja i posłowie: Jerzy Stefan Ossowski. Projekt okładki: Agnieszka Smaga. Wydawca: Biblioteka Centrum Kultury, Piekoszów 2014, s. 108.

Eliza Segiet, „Myślne miraż”. Wstęp: Piotr Mróz. Posłowie: Kinga Młynarska. Wydawnictwo

Miniatura, Kraków 2014, s. 70.

Jerzy Maria Siwecki, „Fabrica imago”. Konsultacje: John Berryman i Gregory Nuncio Corso. Na okładce grafika Karoliny Kosmali, *Fabryka lalek*. Wydawnictwo Imago Montage, wyd. II, Warszawa 2014, s. 76.

Jarosław Zieliński, „Poeta chowa się w słowach / Poetul se ascunde in cuvinte”. Redakcja: Stanisław Grabowski, Krystyna Szal-Szymańska. Współpraca i konsultacja: Liliana i Bogdan Suster. Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR, Warszawa 2015, s. 134.

Marlena Zynger, „Dwa maty”. Rysunek na okładce: Marek Raczkowski. Zdjęcie autorki: Andrzej M. Makuch. Projekt graficzny: Anna Skowrońska. Wydawnictwo Książkowe IBIŚ, Warszawa 2014, s. 70.

PROZA

Anna Arno, „Okna”. Na okładce Henri Matisse, *Porte-fenetre a Collioure*, 1914. Fotografia na skrzydełku: Tomasz Żurek. Projekt graficzny i typograficzny: Janusz Górski. Projekt okładki: Elżbieta Tchorznicka. Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2014, s. 96.

Tomasz Białkowski, „Powrót”. Opracowanie graficzne: Piotr Geisler. Projekt okładki: Anna M. Damasiewicz. Zdjęcie na okładce: Grischa Georgiew. Oficyna, Gdańsk 1014, s. 306.

Charles Bukowski, „Najpiękniejsza dziewczyna w mieście”. Projekt okładki: Tomasz Lec. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 1014, s. 280.

Witold Dułęba, „Arlekino, Arlekino”. Wydano nakładem własnym, Zawiercie 2014. Wydanie rozszerzone, s. 190.

Arkadiusz Frania, „Rzeźby w maśle. Prozy z pamięci”. Posłowie: Elżbieta Hurnik. Projekt okładki: Studio Nowy Świat. Zdjęcie: Fotolia. Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2014, s. 152.

Maciej Miłkowski, „Wisł”. Na okładce Joan Miro, *L'Oro Dell'Azzurro*, 1967. Fotografia na skrzydełku: Jakub Ociepa. Projekt graficzny i typograficzny: Janusz Górski. Projekt okładki: Elżbieta Tchorznicka. Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2014, s. 146.

Alice Munro, „Odcienie miłości”. Przetłumaczyła: Agnieszka Kuc. Projekt okładki i stron tytułowych: Urszula Gireń. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014, s. 512.

Vlastimil Pospisil, „Powrót do domu ojców”. Redakcja i korekta: Rafał Leszczyński. Wydawca: Stowarzyszenie Czechów w Polsce z siedzibą w Żelowie, Żelów 2014, s. 168.

Andrzej Stasiuk, „Wschód”. Projekt okładki: Agnieszka Pasiarska / Pracownia Papierówka. Fotografia na okładce: Martine Franek / Magnum Photos / FORUM. Projekt typograficzny: Robert Oleś / d2d.pl. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014, s. 304.

Jan Tomkowski, „Czarny elementarz”. Redakcja i korekta: Magdalena Lenart. Opracowanie graficzne i okładka: Piotr Hrycek. Wydawnictwo 2 Kolorz Sp. z o.o., Warszawa 2014, s. 246.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

Dominik Antonik, „Autor jako marka. Literatura w kulturze audiowizualnej społeczeństwa informacyjnego”. Projekt okładki i stron tytułowych: Ewa Gray. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNISYD, Kraków 2014, s. 192.

Józef Baran, Sławomir Mrozek, „Scenopis od wieczności (listy)”. Posłowie: Wojciech Ligęza. Projekt okładki: Agnieszka Herman. Zyski S-ka Wydawnictwo, Poznań, s. 272.

Etienne Barilier, „Chiński fortepian”. Przetłumaczył: Jacek Giszczak. Projekt okładki: Tomasz Lec. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2014, s. 112.

Krzysztof Ciszewski, Maciek Kuszneruk, „Zapomniane cmentarze w okolicach Bełchatowa”. Fotografie: Krzysztof Ciszewski, Maciek Kuszneruk, Piotr Zochniak. Projekt graficzny: Krzysztof Ciszewski, Maciek Kuszneruk. Opisy miejsc i opracowanie topograficzne: Krzysztof Ciszewski. Teksty: Joanna Drzazga – *Niemcy w okolicach Bełchatowa*, Sławoj Kopka – *Żydzi w okolicach Bełchatowa*, Krzysztof Ciszewski – *Czesi w okolicach Bełchatowa*, Maciek Kuszneruk – *Uytuowanie i sposób zarządzania starych cmentarzy w okolicach Bełchatowa*. Wydawca: TAGRAF Usługi DTP Błażej Taborowski, Bełchatów 2014, s. 198.

Leszek Kołakowski, „Jezus ośmieszony. Esej apologetyczny i sceptyczny”. Posłowie: Jan Andrzej Kłoczowski OP. Przekład: Dorota Zańko. Projekt okładki: Olgierd Chmielewski. Na okładce: Hieronim Bosch, *Chrystus niosący krzyż*, Muzeum voor Schone Kunsten – Photo Hugo Martens. Opieka redakcyjna: Agnieszka Rudziewicz. Adystacja: Bogumiła Ziembła. Wydawnictwo Znak, Kraków 2014, s. 140.

Sławoj Kopka, „Wizytownik zelowski”. Redakcja i projekt okładki: Andrzej Dębkowski. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski, Żelów 2014, s. 178.

Józef Piłsudski, „Rok 1920”. Redakcja i korekta: Tomasz Stasiak. Opracowanie graficzne: Piotr Hrycek. Okładka: Andrzej Gosik. Wydawnictwo 2 Kolorz Sp. z o.o., Wydanie VII, Warszawa 2014, s. 318.

Tadeusz Płużański, „Moje spotkania z bestiami”. Redakcja i korekta: Magdalena Lenart, Damian Gębski. Wydawnictwo 2 Kolorz Sp. z o.o., Warszawa 2014, s. 206.



„Jak zatem zmieniają się filmowe preferencje Polaków? Do komedii, które od dawna stanowią niezawodny wabik (z badań Research & Development Solutions z 2010 roku wynikało, że 62 proc. polskich widzów najchętniej sięga właśnie po ten gatunek), w ostatnich latach dołączyły filmowe biografie. Nie tylko te historyczne.

Polscy widzowie coraz chętniej chodzą do kina, by na wielkim ekranie obejrzeć przygody ludzi znanych z telewizji i kolorowych gazet – pisze Bartosz Staszczyszyn w „Tygodniku Powszechnym” numer 2/2015.

– Prawdziwe historie angażują publiczność w wyjątkowy sposób. A o to przecież w kinie chodzi: by pochwytać widza i wciągnąć go w inny świat – mówi Marlena Wilcan z firmy Vue Movie, dystrybutora takich filmów jak „Jack Strong” czy „Nad życie” Anny Pluteckiej-Mesjasz.

O tym, jak duży potencjał rynkowy mają filmowe biografie, przekonują kasowe wyniki serii produkowanej przez TVN. Opowieści o życiu siatkarki Agaty Mróz (wspomniane „Nad życie”) i fana Meli („Mój biegun” Marcina Głowackiego), a także „Oszukane” Marcina Solarza inspirowane prawdziwą historią dziewczynki zamienionej w szpitalu zaraz po urodzeniu – przyciągały do kin od 360 do 425 tys. widzów. Nie miały znaczenia miążdzące opinie krytyków i fakt, że wymienione filmy wpisywały się w estetykę telewizyjnych wyciskaczy lez.

W ciągu ostatnich kilkunastu lat polski rynek filmowy zmienił się nie do poznania. Dwadzieścia lat temu chodziliśmy na nowe filmy Bogusława Lindy, Cezarego Pazury, Katarzyny Figury i Marka Kondrata. Dziś coraz mniej jest aktorskich nazwisk, które dają gwarancję kasowego sukcesu.

– Wystarczy wspomnieć, ile znakomicie obsadzonych filmów kończyło się finansową kłapą, by dostrzec, że nie ma w Polsce czegoś, co można by nazwać „systemem gwiazd” – mówi Anna Wróblewska. Andrzej Chyra, który od czasu „Długu” Krzysztofa Krauzego cieszy się statusem gwiazdy, nie uczynił hitu ze świetnego „Daas” Adriana Panka (ledwie 10 tys. widzów), a rola Tomasza Kota w „Erratum” zapewniła temu skądinąd znakomitemu filmowi Marka Lechkiego ledwie 40-sięcną widownię.

Jeśli w polskim kinie kształtuje się dziś system gwiazd, dotyczy on bardziej reżyserów niż aktorów. Wierną publiczność ma Marek Koterski, którego „Wszyscy jesteśmy Chrystusami” w 2006 roku obejrzało 213 tys. widzów, a pięć lat późniejsze „Baby są jakieś inne” ściągnęło do kin aż 800-tysieczną pu-

bliczność. Także filmy Joanny Kos-Krauze i Krzysztofa Krauzego, niełatwe, często bolesne, przyciągały do kin tych, którzy w kinie chcą szczerzej rozmowy – w 2013 roku „Papuszę” obejrzało 117 tys. widzów, a siedem lat wcześniejszy „Plac Zbawiciela” – 185 tys.

– Reżyserską marką numer jeden jest dziś Wojtek Smarzowski. Tworzy kino niełatwe, ale z dużym komercyjnym potencjałem – mówi Marlena Wilcan. Żaden inny reżyser nie daje dziś takiej gwarancji finansowego sukcesu – jego „Dom zły” obejrzało w kinach 220 tys. osób, „Róża” zgromadziła 430 tys., „Drogówka” – milion.

„Mimo że plakatów informujących o koncertach w mieście nie rozwieszono, kolejki do kas ustawiają się już o piątej rano.

Dwa dni przed pierwszym występem w „Życiu Warszawy” ukazuje się notka: „Z obowiązku edukacyjno-dokumentacyjnego informujemy o recitalach EWY DEMARCZYK w T. Żydowskim. Niestety bilety są już wyprzedane” – piszą Angelika Kuźniak i Ewelina Karpacz-Oboladze w „Dużym Formacie”, numer 3/2015.

– Zabroniłem sprzedawać hurtowo – wspomina Szymon Szurmiej, od 1969 roku dyrektor Teatru Żydowskiego (dziś imienia Estery Rachel i Idy Kamińskich) w Warszawie. – Powiedziałem: dwa-trzy bilety na osobę. Przed samym koncertem jedyna szansa na ich kupno to zapłacenie konikiem. Jeżeli w kasie jeden bilet kosztował, powiedzmy, dwadzieścia złotych, to u nich trzysta. Podobno jakiś student wydał na bilet dla siebie i dziewczyny połowę miesięcznego stypendium.

– Jak wszedłem na jej koncert? – Andrzej Opala był na recitalu Demarczyk. – Mama koleżanki ze studiów była scenografem teatralnym o znanym nazwisku i stąd wejście bocznymi drzwiami, ale bilety załatwiła też na łapówki, głównie dla lekarzy.

Ewa Demarczyk mieszkała w Hotelu Europejskim. Telefon nie przestawał dzwonić. Ktoś z ministerstwa, ktoś z klubu studenckiego, ktoś z przyjaciół, jakiś anonim. I prawie zawsze z tą samą prośbą: o bilety.

W dniu koncertu kolejki przed wejściem do Teatru Żydowskiego ciągnęły się aż do kościoła Wszystkich Świętych, około stu pięćdziesięciu metrów.

– Wyglądało dokładnie jak podczas koncertu w 1968, też w Teatrze Żydowskim – mówi Zygmunt Konieczny. – Tamten występ był do tej pory największym sukcesem Ewy w Polsce! Ach, co tam się działo! Milicja obstawiła cały teatr. Wchodziliśmy bocznymi

drzwiami, ponieważ wszędzie były takie tłumy, że w ogóle nie dało się przycisnąć. Jak na Beatlesów! Pchali się strasznie. Teatr Żydowski znajdował się wtedy na ulicy Królewskiej. Dziś stoi na tym miejscu hotel Sofitel Victoria. To był właściwie barak ze sceną i widownią. Przed samym koncertem sala była już niemilosierdzie nabita. Ci, którym udało się wcisnąć, ale nie mieli miejsc, stali pod ścianą. A tam ze względów bezpieczeństwa nie można było stać. Milicja chciała wyrzucać ludzi, ale Ewa wyszła i poprosiła, żeby tego nie robili. Posłuchali. Dostała brawa. Pamiętam coś jeszcze: w Teatrze Żydowskim występowała wtedy Mieczysława Ćwiklińska. Spotkaliśmy ją któregoś dnia. Miała problemy z chodzeniem i aktorzy właśnie wynosili ją na krzeselku z teatru. Popatrzyła na Ewę i powiedziała: „To, co pani robi, jest wspaniałe”.

– Od 1970 roku Teatr Żydowski mieści się w tym budynku, na placu Grzybowskim – opowiada Szymon Szurmiej. – Kiedy Demarczyk występowała tam w listopadzie 1974 roku, na trzysta pięćdziesiąt miejsc były dwadzieścia tysięcy ludzi. Bez milicji nie można było utrzymać porządku. Nie interweniowała, ale pilnowała, by weszło tylko tyle osób, ile było sprzedanych biletów. Kiedy zamknięto drzwi, ludzie błagali, żeby ich wpuścić”.

„Atrakcyjna dziewczyna ucharakteryzowana jest na prezydenta Washingtona i odziana w kostium z epoki. Zrzuca z siebie ubranie, po czym niedwuznacznie ociera się o gigantycznych rozmiarów replikę konstytucji USA. Burza braw, publiczność wyje z zachwytem. „To było mocne!” – komentuje z satysfakcją siedząca w drugim rzędzie krótkowłosa pani w skórzanej motocyklowej kurtce. Oklaski cichną, bo już zaczyna się następny numer. Ciemnoskóry młodzieniec wchodzi na scenę w łańcuchach, skuty łańcuchami, po czym tańczy, rozbiera się niemal do naga – muzykę zagłuszają okrzyki entuzjasmu, najczęściej wydobywające się z kobiecych gardeł – by w finale włożyć na siebie elegancki garnitur pisze Jarek Szubrycht w „Polityce”, numer 50/2014.

– Po nim na scenę wchodzi matrona po sześćdziesiątce i również rozbiera się niemal do rosołu. Musi być świadoma swoich niedoskonałości wynikających z wieku i kilku nadprogramowych kilogramów, ale bez wahania zrzuca z siebie kolejne części garderoby, podobnie jak jej poprzednicy zachęcana głośnym dopingiem widowni. Jest chłodny, jesienny wieczór, ale atmosfera w Columbia City Theater gorąca – to maraton burleski. Striptizu na wesoło i z morałem”.

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — Andrzej Dębowski.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.